

SELMA LAGERLÖF.



# Gösta Berling

ze szwedzkiego przełożyła

JÓZEFA KLEMENSIEWICZOWA.

TOM I.

WARSZAWA  
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.

1905

(148302)

Wyp. 02



125661/1

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0267018

p

K-60/81/130320

## PRZEDMOWA.

W zachodniej Szwecyi, w krainie Wermlandem zwanej, w jednym z licznych starych dworzyszcz, ocienionych odwiecznymi drzewami, przyszła na świat r. 1858 najslawniejsza obecnie z powieściopisarzy tego kraju, Selma Lagerlöf.

Jak sama opowiada w swojej pełnej naiwnego wdzięku i prostoty *En Saga om en Saga* (Gadka o gadce), wśród licznej gromadki dzieci była najwątlesza i z tego powodu, zamiast bujać po polach, po błoniach, nad ślicznem jeziorem się rozciągających, zmuszona przebywać w domu, obchodziła wszystkie jego zakamarki, badała zawartość wszystkich tajemniczych schówków. W takich starych dworach każdy zakątek ma swoją przeszłość, a cóż dopiero lamusy i strychy! Cóż to za skarbnice pamiętek, o których zajmujące historie umieją opowiadać starszankowie

Od nich to przejęła Selma Lagerlöf nie tylko



treść, ale i sposób opowiadania, dlatego też wywołuje wrażenie zjawiska niezwykłego w literaturze. Czytając jej utwoy, zapomina się zgola, że pisano je w ostatnim dziesiątku minionego stulecia i w dzisiejszych czasach.

Autorka sama najlepiej odczuwała rozbrat między swoją twórczością a ówczesnym prądem literackim, to też kilka lat wstrzymywała się z ogłaszaniem swoich prac, które pisać zaczęła w dwudziestym drugim roku życia. W chwili najbujniejszego rozkwitu realizmu występować z romantycznymi opowieściami wydało się Selmie Lagerlöf niedorzecznością. Usiłowała chwilowo zmienić przynajmniej sposób pisania na bardziej odpowiedni duchowi czasu, lecz zaniechała tego, czując, że byłoby to krzywdą dla samego dzieła.

Wreszcie za namową siostry w r. 1890 posłała to, co miała gotowego, t. j. kilka rozdziałów późniejszego dwutomowego dzieła p. t. *Gösta Berling*, stanowiących pewną całość, na konkurs czasopisma *Idun*. Otrzymała nie tylko nagrodę, lecz zapewnienie redakcyi, że wydrukuje powieść, skoro tylko będzie skończoną. Selma Lagerlöf zajmowała wówczas posadę nauczycielską na prowincyi. Ponieważ zawodemu praca dużo jej pochłaniała czasu, postarali się wielbiciele jej talentu, aby spokojna o chleb codzienny, mogła się oddać całkowicie działalności literackiej.

Niebawem powstało wspaniałe dzieło na podstawie reminiscencyj z lat dziecięcych, niby epopea prozą, w której pojedyncze epizody, chociaż same w sobie stanowią częstokroć zaokrągloną całość,

splatają się jednak z innymi w osnowę powieściową.

Ożyła tu ukochana jej ziemia rodzinna, przeszły do potomności wszystkie legendy i podania, krążące w niej o starych dworach i dawnych ich mieszkańcach. Najmniej realnych podstaw posiada sam bohater, Gösta Berling—jestto przeważnie wytwór wyobraźni autorki, ale znakomicie dostrojony do reszty legendowych postaci. Typ to junaka, którego nieszczęściem było, że go zrobiono księdzem. Pelen najszlachetniejszych porywów, najlepszego serca człowiek, umiejący wszystko i wszystkich zwyciężyć i pokonać, prócz siebie samego. Idąc za popędem chwili, wpada z jednej ostateczności bezpośrednio w drugą, nie zna miary w używaniu, nie zna jej w w pokucie.

Ponad barwnym obrazem minionych czasów unosi się w tej powieści piękna idea—apoteoza pracy. Tendencya jednak znika w całej masie przepysznych, drgających życiem obrazów i nie psuje ogólnego wrażenia, tembardziej, że bezpośrednio występuje dopiero pod sam koniec powieści.

Z późniejszych prac Selmy Lagerlöf zasługują na uwagę *Cuda Antychrysta*, rodzaj powieści historyczno obyczajowej, a zwłaszcza dwutomowa powieść p. t. *Jerozolima*. Opowiada tu autorka o ruchu religijnym chłopskim w Szwecyi. Jestto dzieło poważne, miejscami prawdziwie piękne.

Dotąd jednakże stanowczo najlepszą powieścią Selmy Lagerlöf jest *Gösta Berling* i daje najlepsze pojęcie o charakterze jej talentu i sposobie tworzenia. Jestto talent wybitnie epicki: autorka nie



nie lekceważy, nie pali się do wywołania wielkiego wrażenia, przeciwnie, opowiada równie szeroko o ludziach i zwierzętach, różach i pszczołach, o promieniu słonecznym i soplu lodowym, bo wszystko jednakowo ją zajmuje, wszystko, jej zdaniem, ma znaczenie w powszechnem istnieniu. Tworzy zaś panna Lagerlöf pojedynczemi obrazami, często na pozor zdajacemi się odbiegać zupełnie od głównego przedmiotu, łączy je jednak zawsze ogólna idea utworu w artystyczną całość.

J. K.

### PROBOSZCZ.

Nareszcie zjawił się proboszcz na kazalnicy. Ludzie zebrani w kościele podnieśli głowy. Więc to on rzeczywiście—a zatem nie przepadnie tej niedzieli kazanie, jak ostatniej i tylu innych niedziel.

Proboszcz był młody, wysokiego wzrostu, smukły i niezwykle piękny. W hełmie, z mieczem przypasanym do boku, odziany w pancerz stanowiłby najlepszy model posągu, któremu możnaby nadać imię najpiękniejszego z Greków.

Proboszcz posiadał głębokie oczy poety, a stanowczy, owalny podbródek wodza. Wszystko w nim było piękne, pełne wyrazu, tchnące genialnością i wyższem duchowem życiem.

Zgromadzeni uczuli się dziwnie oniśmieleni, gdy go takim ujrzeni. Przywykli bowiem widywać go wychodzącego chwiejnym krokiem z szynku w towarzystwie wesółych kompanów, jak pułkownik Beerenkreuz z długimi wąsami i kapitan Berg o zdumiewającej sile fizycznej.



Oddawał się on do tego stopnia pijaństwu, że kilka tygodni z rzędu nie mógł pełnić swoich obowiązków, a parafia zmuszona była wnieść na niego zażalenie, najpierw do bezpośredniej władzy, a później do biskupa i kapituły. Obecnie zjechał biskup dla zbadania sprawy. Siedział właśnie na chórze, a złoty krzyż błyszczał mu na piersiach. Kaznodzieje z Kulsstadu i okolicznych miejscowości otoczyli go kołem.

Nie ulegało wątpliwości, że zachowanie się proboszcza przekroczyło dozwolone granice. W owych czasach — rzecz dzieje się na początku minionego stulecia — nie brano tak bardzo za złe ludziom, że sobie czasem podpili; ten człowiek jednak zaniedbywał swoje obowiązki wskutek pijaństwa i właśnie miał stracić posadę.

Stał na kazalnicy i czekał na prześpiewanie ostatniego wiersza psalmu. W tej chwili uświadomił sobie, że w całym kościele, na wszystkich ławkach siedzą sami jego wrogowie. Obywatelstwo na górze, wieśniacy na dole, śpiewacy na chórze — wszyscy są mu nieprzyjaciółmi. Wróg grał na organach i wróg dał w miechy. Wszyscy nienawidzili go, od małych dzieci począwszy, które na rękach przynoszono do kościoła, aż do zakrystana, sztywnego, wyprostowanego żołnierza, który był w bitwie pod Lipskiem.

Proboszcz miał ochotę rzucić się im do kolan i błagać o litość.

Wnet jednak owładnął nim głuchy gniew. Przypomina sobie doskonale, jakim był, gdy przed rokiem po raz pierwszy wstąpił na kazalnicę. Wtedy

nte było na nim żadnej skazy, a oto dziś stoi wobec człowieka w złotym łańcuchu na piersiach, który go ma sądzić.

I kiedy usta jego wymawiały słowa modlitwy, na twarz występowała mu jedna fala krwi za drugą — był to gniew.

Rzeczywiście upijał się — ale kto ma prawo zarzut mu czynić z tego? Czy widział kto plebanię, na której mu żyć kazano? Las świerkowy, czarny, posępny zasłaniał mu światło. Wilgoć sączyła się z powaly po spleśniałych ścianach. Czyż nie potrzebował wódki dla dodania sobie otuchy, kiedy deszcz lub zamieć śnieżna wciskała mu się do wnętrza przez wybite szyby okien, a źle uprawiony, zaniedbany grunt nie chciał dawać dostatecznej ilości chleba na zaspokojenie głodu?

Jego zdaniem, był on właśnie takim proboszczem, na jakiego zasługiwali. Przecież oni wszyscy piją. Dlaczegożby on jedynie miał sobie zadawać jakiś przymus? Mąż, który żonę pochowa, upije się na stypie; ojciec, który dziecko ochrzci, upije się po ceremonii. Parafianie, wracając z kościoła, piją po drodze tak, że przeważna ich część pijana jest, zanim stanie w domu. Dla nich wystarczy proboszcz-pijak.

Nauczył się on oceniać wódkę, gdy w urzędowych sprawach, w lekkim płaszczu milami jechał przez zamarznięte jeziora, gdzie schodzą się wiatry ze wszystkich stron świata — lub gdy płynął otwartą łodzią w czasie burzy i ulewnego deszczu lub zawieruchy śnieżnej, kiedy musiał wysiadać z sań, aby koniowi lopatą odgarnąć drogę między



wysokimi jak kamienice wałami śnieżnymi, lub gdy musiał brodzić po błotnistych drogach leśnych.

Dni posępne, ciężkie wloką się jeden za drugim. Chłop i szlachcic na równi przykuci do ziemi—wieczorem otrząsali się ze smutku, pokrzepieni wódką.

Humory im się naprawiały, serce się rozgrzewało, życie wydawało się jasnym, brzmiały śpiewy, rozchodził się zapach róż. Wtedy izba szynkowna zdała mu się być różanym gajem z pod południowego nieba. Winne grona i oliwki zwisały mu nad głową, posągi marmure błyszczwały poprzez ciemną gęstwinę liścia, filozofowie i poeci przechadzali się pod palmami i platanami.

Tak, on, proboszcz stojący na kazalnicy, wie dobrze, iż życie w tej stronie kraju jest nie do zniesienia; wszyscy słuchacze jego wiedzą to samo— a jednak chcą go potępić.

Chcą mu odebrać suknię duchowną, ponieważ pijany przekroczył progi domu Bożego. Ha!—Ach, wszyscy oni... śmieliżby utrzymywać, że mają inne bóstwo, prócz wódki?

Skończył właśnie modlitwę wstępną i pochylił się, aby zmówić Ojciec nasz.

Cicho było, jak makiem siał, podczas modlitwy. Nagle chwycił proboszcz silną dłoń za wstążki, któremi związana była sutanna. Zdało mu się, jakoby cała parafia z biskupem na czele skradała się po stopniach kazalnicy, aby zerwać sutannę. Klęczał, nie odwracając głowy, ale czuł, jak szarpał za wstążki, a widział ich wszystkich tak wyraźnie: opatów, proboszczów, kuratorów, zakrystyana i całą

parafię w długim szeregu ciągnących z całych sił, aby mu zerwać sutannę. Wtem żywo stanęło mu przed oczyma, jak wszyscy ci, którzy obecnie z takim zapalem ciągną jeden po drugim, pospadają ze schodów, gdy sutanna się zerwie i wszyscy ci, którzy na dole stojąc, szarpać nie mogli, lecz siebie wzajemnie za poły ciągnęli — wszyscy się przewracają.

Widział to tak wyraźnie, że omal nie roześmiał się w głos, klęcząc i modląc się, a jednocześnie zimny pot wystąpił mu na skronie. Ależ to okropne!

Przez wódkę ma stać się wyrzutkiem! proboszczem złożonym z urzędu—czyż na świecie może być coś haniebniejszego?

Raczej nędzarzem być, żebrzącym po gościńcu, pijanym w rowie leżeć, w lachmanach chodzić, wśród włóczęgów żyć!

Modlitwa się skończyła—miał wygłosić kazanie. Wtem przemknęła mu przez głowę jakaś myśl i słowa zamarzyły mu na ustach. Uśmiadomił sobie, że dziś poraz ostatni głosić ma cześć i chwałę Boga.

Poraz ostatni!—myśl ta głęboko wzruszyła proboszcza. Zapomniał o wódce i biskupie. Musi skończyć ze sposobności i sławić chwałę Pana.

Zdało mu się, jakby posadzka kościoła zapadła się głęboko w przepaść, jakgdyby dach usunięto, że patrząc mógł prosto w niebo. Stał sam, zupełnie sam na kazalnicy, a duch jego nabył skrzydeł i uniósł go w otwarte niebo, głos jego brzmiał silnie, potężnie.

Natchnienie spłynęło na niego. Nie zajrzał w rozłożone przed sobą kazanie; myśli biegly ku



niemu, jak rój oswojonych gołębi. Miał wrażenie, jakby to mówił ktoś inny, a jednocześnie czuł, że nikt nie może przewyższyć go blaskiem i wspaniałością, gdy w tej chwili stoi na kazalnicy i głosi chwałę Pana.

Póki ognisty język natchnienia płonął nad nim, mówił, a gdy zgasł i dach opadł na kościół, a podłoga z głębokiej przepaści podniosła się w górę, ukląkł i zaczął się modlić, gdyż pojął, że była to najpiękniejsza chwila w jego życiu... ale przeszła.

Po nabożeństwie miało się odbyć posiedzenie i śledztwo. Biskup zapytał zgromadzonych, czy parafia ma co do zarzucenia swojemu proboszczowi?

Ten ostatni nie był obecnie hardy i gniewny, jak przed kazaniem. Wstyd go ogarnął i spuścił głowę. Ach! — wytoczą się wszystkie pożałowania godne historie z wódką!

Ale nie wytoczono żadnej. Naokół wielkiego stołu zaległa cisza.

Proboszcz spojrział najpierw na zakrystyana, siedzącego naprzeciw niego — milczał; potem na kuratorów, na chłopów i właścicieli huty żelaznej — wszyscy milczeli. Usta mocno zacisnęli i niemal zmieszani spuścili na stół oczy.

— Czekają, żeby ktoś zaczął — pomyślał proboszcz.

Wtem jeden z kuratorów odchrząknął:

— Sądzę, że mamy dobrego proboszcza — odezwał się.

— Książd biskup przecież sam słyszał, jakie miewa kazania — wtórował mu zakrystyan.

Biskup napomknął coś o częstem zaniedbywaniu kazań.

— Proboszcz przecież równie dobrze może czasem chorować, jak inni ludzie — zauważył chłop jakiś.

Biskup wtrącił, że w parafii gorszą się ludzie sposobem życia proboszcza.

Wtedy jak jeden mąż stanęli wszyscy w jego obronie. At, gdyby tylko zawsze takie kazania miewał, jak dziś, nie daliby go nawet za samego księdza biskupa.

Nie było więc ani skargi, ani sądu.

Proboszcz czuł, jak serce mu rośnie, jak lekko krąży mu krew w żyłach. A więc nie przebywa wśród nieprzyjaciół, zjednał ich sobie, kiedy się tego najmniej spodziewał — więc pozostanie przy swoim urzędzie.

Po posiedzeniu zostali na plebanii na obiedzie: biskup, opaci, proboszcze i poważniejsi z pośród parafian. Żona proboszcza z sąsiedztwa podjęła się roli gospodyni, gdyż młody proboszcz był kawalerem. Urządziła wszystko możliwie najlepiej i poraz pierwszy przekonał się proboszcz, że na tej plebanii wcale nie jest tak strasznie. Długi stół umieszczono pod jodłami i nakryto świeżutkim, białym obrusem, naczyniem porcelanowem, niebieskiem z białem, szkłem i kunsztownie złożonemi serwetkami. Dwie brzozy wsadzono u wejścia, ziemię pokryto gałazkami jałowca, z pod dachu spuszczone festony; we wszystkich pokojach poustawiano kwiaty, przykry zapach znikł, a zielone szyby okien błyszcząły wesoło w słońcu.



Proboszcz był niezmiernie zadowolony i po-przyściągł sobie nie pić nigdy.

Przy stole widać było same wesole twarze. Ci, którzy okazali się wspaniałomyślni i przebaczyli, radzi byli z siebie, proboszcze zaś i opaci, zadowoleni byli, że szczęśliwie uniknęło się skandalu.

Dobry biskup, wychylając kielich, podniósł go w górę i przemówił: że dążył tu z ciężkim sercem, gdyż dochodziły go smutne wieści. Wyruszył, sądząc, że zastanie Szawła, a oto z Szawła tymczasem zrobił się już Paweł, który będzie odtąd pracował bardziej od innych. Spokojny mąż mówił o tym drogocennym darze wymowy, który posiada brat ich młodszy. Lecz upominał go, aby nie pysznił się nim, a wyteżył wszystkie swoje siły, pomyślając jak wielka odpowiedzialność na nim ciąży.

Na tym obiedzie nie był proboszcz pijany, lecz mimo wszystko podochocony. Wielkie, niespodziewane szczęście oszołomiło go. Niebo zlało na niego natchnienie, a ludzie obdarzali go miłością. Krew pulsowała mu jeszcze gwałtownie w żyłach, gdy wieczorem opuścili go już goście. Długo w noc siedział jeszcze w swoim pokoju, a świeże, nocne powietrze płynęło przez otwarte okno, uśmierzając gorączkowy, radosny niepokój, który mu zasnąć nie pozwalał.

Wtem usłyszał głos jakiś: — Nie śpisz, proboszczu?

Po murawie zbliżał się jakiś mężczyzna. Proboszcz wyrzwał i poznał kapitana Chrystyana Berga, jednego z kompanów do pijatyki. Kapitan był to włóczega bez domu i rodziny, olbrzym z postaci

i siły fizycznej, ogromny jak góra, a milczący jak duch górski.

— Naturalnie, że nie śpię, kapitanie—odezwał się proboszcz. — Czy sądzisz, że tej nocy można spać?

A teraz posłuchajcie, co mu kapitan Chrystyan opowiedział. Olbrzym domyślał się czegoś, zrozumiał, że proboszcz odtąd nie będzie miał odwagi pić. — Gotów odtąd nie mieć spokoju od tych świętoszków; byli raz i każdej chwili mogą się znów zjawić, aby mu zdjąć sutannę, jeżeli popadnie w dawne grzechy.

Więc on, kapitan Chrystyan, w swoją wziął go w opiekę. Tak urządził, że już żaden proboszcz nie opat, ani żaden biskup tu nie zjadą. Na przyszłość będzie sobie proboszcz mógł pić z kompanami nawet na samej plebanii, gdyż dokonał bohater-skiego czynu.

Kiedy biskup i trzech inni księża wsiedli do zamkniętej karety i zatrzaśnięto za nimi drzwiczki, wsiadł kapitan na koziół i woził ich dwie mile wśród jasnej, letniej nocy. A pokazał im, co to znaczy jazda. Konie popędzał, że szły galopem. To była dla nich kara, że nie pozwolili uczciwemu człowiekowi podochocić sobie nieco.

Myślicie, że trzymał się gościńca, że nie śmiał ich wytrząść należycie? Bynajmniej, jechał przez rowy i ścierniska, w pełnym galopie spuszczał się z góry, potem zajechał w jezioro tak, że woda obryzgała koła; wiozł ich ponad górskimi prze-paściami, gdzie konie ostrożnie przebiec musiały nogami, a ślizgały się raz wraz. Przez cały ten czas





siedzieli księża bladzi śmiertelnie, mrużąc swoje modlitwy. Gorszej jazdy w życiu nie zaznali.

Można sobie wyobrazić, jak wyglądali, stanawszy w zajeździe—żywi, lecz dygocący, jak kulki grochu w skórzanym worku.

— Co to ma znaczyć, kapitanie Chrystyanie?— zapytał biskup, gdy mu otworzył drzwiczki powozu.

— To znaczy, żeby się ksiądz biskup dobrze namyślił, zanim drugi raz zjedzie na inspekcję do Gösty Berlinga — powiedział kapitan Chrystyan, a zdanie to naprzód sobie ułożył i nauczył się go na pamięć, aby się nie pomylić.

— A więc pozdrów Göstę Berlinga i powiedz mu, że do niego nie zjadę nigdy więcej ani ja, ani żaden inny biskup.

Ten swój bohaterski czyn opowiedział kapitan proboszczowi, stojącemu w otwartym oknie w jasną noc letnią. Kapitan właśnie odstawił konie do oberży i ze swoją nowiną podążył na plebanię.

— Teraz możesz być spokojny, kochany bracie—zakończył.

A, kapitanie Chrystyanie, prawda, że księża wybladli siedzieli w powozie, ale chyba jeszcze bledsze oblicze proboszcz, gdy wpatrywał się w jasną noc letnią. Ach, kapitanie Chrystyanie!

Proboszcz podniósł rękę w górę, jak gdyby zamierzał olbrzymowi wyciąć silny policzek w tę grubą, głupią twarz—ale się rozmyślił. Zatrząsnął okno i stanął na środku pokoju, zaciśniętą pięść wznosząc groźnie ku niebu.

On, nad którym unosilo się natchnienie, on

który głosił chwałę Boga, on stał teraz, pewny, że Pan Bóg zakpił sobie z niego.

Czyż biskup nie pomyśli, że on nastal kapita-  
na? Czyż nie będzie przekonany, że przez cały dzień udawał i kłamał? Teraz dopiero zabierze się do niego i złoży go z urzędu.

Za nadejściem rana znikł gdzieś proboszcz. Nie chciał pozostać i bronić się, bo i po co? Bóg zadrwił sobie z niego. Bóg nie chciał mu dopomóc. Oddał go napewno. Bóg tak chciał. A więc lepiej, że sobie pójdzie odrazu.

Zdarzyło się to w Szwecyi, w dwudziestym roku minionego stulecia, w odległej parafii zachodniego Wermlandu.

Było to pierwsze nieszczęście, które spotkało Göstę Berlinga, a nie pozostało ostatniem.

Albowiem dla koni, nieznoszących ostrogi ni bota, życie nie jest łatwe. Za każdym bólem, którego doznają, schodzą na manowce, idąc na oślep w ziejące przepaści. Skoro tylko droga okaże się kamienistą, a jazda trudną, znają tylko jeden sposób: przewrócić wóz i puścić się szalonym galopom.



## II.

## ŻEBRAK.

Pewnego zimnego dnia grudniowego piął się jakiś żebrak na górę Broby. Odzież jego stanowiły nędzne lachmany, a buty miał tak podarte, że śnieg przemoczył mu nogi.

Löfsee jestto długie, wąskie jezioro w Werm-landzie, które na północ ciągnie się aż po lasy fińskie, a na południe po jezioro Wenem. Kilkaset gmin leży nad jego brzegami, ze wszystkich jednak największą i najzamożniejszą jest gmina Broe. Obejmuje ona zarówno część wschodniego, jak i zachodniego brzegu; na tym ostatnim jednak leżą największe dwory, siedziby szlacheckie, jak Ekeby i Björne, sławne z bogactw i piękności, oraz Broby wielka wieś z karczmą, domem gościnnym, więzieniem, urzędem gminnym, plebanią i targowicą.

Broby leży na stromej górze.

Żebrak minął karczmę stojącą u podnóża góry i z trudnością piął się ku plebanii, leżącej na samym szczycie.

Przed nim szła jakaś dziewczynka, ciągnąc sanki, na których leżał worek mąki.

Żebrak dogonił dziewczynkę i zagadnął ją:

— Za mały koń na taki wielki ciężar.

Dziecko odwróciło się i spojrzało na niego. Dziewczynka miała blisko dwanaście lat, była mała, o bystrych, ruchliwych oczach i ustach zaciśniętych.

— Dalby Bóg, żeby ciężar był większy, a koń mniejszy, wystarczyłoby na dłużej — odpowiedziała.

— Czy może własną strawę ciągniesz?

— Tak, Bóg niechaj słyzy skargę moją. Sama muszę myśleć o swoim pożywieniu, chociaż jestem taka mała.

Żebrak zaczął pchać sanki z tyłu. Dziewczynka odwróciła się i spojrzała na niego:

— Nie myśl sobie, że dostaniesz co za to — odezwiała się

Dziad roześmiał się w głos.

— Jesteś, zdaje się, córką proboszcza z Broby — zawołał. — Zaraz poznałem!

— Naturalnie, że nią jestem. Biedniejszego ojca ma niejedno dziecko — gorszego żadne. Święta to prawda, chociaż wstyd, że musi tak mówić jego własne dziecko.

— Twój ojciec jest więc skąpy i zły w dodatku?...

— Tak; skąpy jest i zły w dodatku, a córka jego, jeżeli się uchwowa, będzie jeszcze gorsza, powiadają ludzie.



— Może mają słuszość. Ale radbym wiedzieć, jak przysłaś do tego wora mąki.

— Myślę, że nie popełnię nic złego, jeżeli ci opowiem. Wzięłam dziś rano zboże z ojcowej stodoły, a teraz byłam z niem we młynie.

— A nie zobaczy cię, gdy się dowleczesz do domu?

— Eh, wydajesz mi się bardzo naiwny. Ojciec wyjechał w służbowej sprawie.

— Właśnie jedzie ktoś za nami pod górę. Słyszę skrzywienie śniegu pod sankami. A gdyby to on był?

Dziewczynka jęła nasłuchiwać i rozglądać się, nagle uderzyła w płacz:

— To ojciec — szlochala — zabije mnie! zabije mnie!

— A widzisz! Teraz przydałaby się dobra rada—a prędką radą warta więcej od złota i srebra—odezwał się żebrak.

— Wiesz co? możesz mi dopomóc — rzekło dziecko. — Weź sznur i ciągnij sanki, ojciec będzie myślał, że to twoje.

— Cóż mam z tem zrobić? zapytał dziad, przerzucając sznur przez ramię.

— Zawieź teraz, gdzie chcesz, ale gdy się ściemni, przyjdź na plebanię. Będę cię upatrywała.

— Spróbować mogę.

— A niech cię Pan Bóg broni, żebyś mi się miał nie stawić!—zawołała dziewczynka, puszczając się co żywiej, aby wyprzedzić ojca w domu.

Żebrak smutny zawrócił sanki i skierował się ku karczmie. Biedak marzył, brodząc boso po śnie

gu, o wielkich lasach na północ jeziora—o wielkich fińskich lasach.

Tu, idąc wązkim klinem, łączącym górną i dolną część jeziora, w tych bogatych, wesółych okolicach, gdzie stał pałac przy pałacu, huta żelazna jedna obok drugiej, tu było mu za ciężko iść, tu był mu każdy pokój za ciasny, każde łóżko za twarde. Tu czuł bolesną tęsknotę do spokoju wielkich, odwiecznych lasów.

Tu dochodził go zewsząd odgłos cepów spadających na klepisko, jak gdyby młocka trwać miała bez końca. Ładunki drzewa i węgla szły ustawicznie z niewyczerpanych lasów. Niezliczone szeregi wozów wyladowanych kruszcem sunęły głębokimi śladami, pozostawionemi wzdłuż drogi przez setki ich poprzedników. Tu widział sanie, jadące od dworu do dworu rażno, wesolo, że zdało mu się, jakgdyby radość niemi powoziła, a miłość i piękność zajęły tyły. Ach, jak tęsknił samotny wędrowiec do spokoju wielkich lasów.

Tam, het, gdzie drzewa jak smukłe kolumny wznoszą się w górę, gdzie śnieg leży grubemi warstwami na niewidzialnych gałęziach, gdzie wiatr moc traci, a tylko może lekko igrać ze szpilkami wierzchołków, tam chciał zapuścić się głęboko, coraz głębiej w lasy, póki by go pewnego dnia siły nie opuściły i nie opadł popod wielkie drzewa, gdzie zginąłby z głodu i zimna.

Tęsknił do wielkiego, szemrzącego grobu, gdzie zmogłyby go niszczące potęgi, gdzie udałoby się wreszcie głodowi, zimnu, wyczerpaniu i wódce po-



konać to nędzne ciało, które oparło się wszystkiemu.

Zaszedł do karczmy, gdzie zamierzał przecze-kać do wieczora. Wszedł do izby szynkownej i usiadł pod drzwiami, cicho marząc o odwiecznych lasach.

Karczmarce żał się go zrobiło i dała mu kieliszek swojej mocnej, słodkiej wódki. Później dała mu i drugi—bo ją tak bardzo prosił.

Ale \*więcej dać nie chciała i dziad wpadł w rozpacz — bo on musiał pić. Musiał raz jeszcze poczuć, jak serce skacze mu w piersi, jak myśli buchają płomieniem. Ach, ta niezrównana wódka! Słońce letnie, śpiewy ptaszące i wonie i piękności upajają go! Raz jeszcze, zanim zginie, chce się napić i czuć jasność i światło i szczęście.

Tak tedy wymienił najpierw mąkę, potem wórek, a w końcu sanie—wszystko na wódkę. Wypite kieliszki wprawiały go w odurzenie i przespał większą część popołudnia na ławie w szynku.

Zbudziwszy się, uznał, że tylko jedno pozostaje mu obecnie do zrobienia. Skoro to nędzne cielsko tak zawładnęło jego duszą, skoro przepił to, co mu dziecko powierzyło, skoro jest zakalą ziemi, powinien ją od niej uwolnić. Musi duszę swoją wyswobodzić, pozwolić jej wznieść się do Boga.

Leżał na ławie w karczmie i sądził się.—Gösta Berling, złożony z urzędu proboszcz, oskarżony, że przepił własność głodem mrącego dziecka, skazany zostaje na śmierć! Na jaką śmierć? Na śmierć w śniegu.

Chwycił za czapkę i chwiejnym krokiem wyszedł. Nie był obecnie ani zupełnie pijany, ani też

zupełnie trzeźwy. Rozzalone zaczął płakać nad swoją biedną, poniżoną duszą, którą musiał wyswobodzić.

Zatrzymał się nieopodal drogi. Na skraju jej zmiotł wicher cały wał śniegu, na nim położył się, gotów umrzeć. Przymknął oczy, usiłując zasnąć.

Nie wiadomo, jak długo leżał, ale żył jeszcze, kiedy córka proboszcza z Broby ukazała się na gościńcu z latarką w ręce i zobaczyła go leżącego na śniegu. Czekala na niego długo, wreszcie zbiegła z góry, ażeby rozejrzeć się, gdzie się podział.

Poznała go natychmiast i jęła nim potrząsać i krzyczeć nad nim z całych sił, aby go zbudzić.

Chciała się koniecznie dowiedzieć, co zrobił z jej workiem mąki. Chciała przywołać go do życia—przynajmniej o tyle, aby jej powiedział, co się stało z jej sankami i workiem mąki. Ojciec ją ubija, jeżeli zginą sanki. Ugryzła żebraka w palec, drapała go po twarzy i krzyczała jak szalona.

Wtem gościńcem ktoś nadjechał.

— Kto, u diabła, wrzeszczy tu tak?—odezwał się ostry głos.

— Chcę się dowiedzieć, co zrobił z moimi sankami i workiem mąki—szlochala mała, bijąc zaciśniętymi pięściami w pierś żebraka.

— Nie wstydzisz się zamarniętego człowieka tak drapać? Precz, ty dzikie kocię!

Wysoka, barczysta kobieta wysiadła z sań i zbliżyła się do kopca śniegu. Dziecko chwyciła za kołnierz i odepchnęła na gościniec, poczem schyliła się, wsunęła ręce pod grzbiet leżącego i podniosła go. Tak zaniósła go sama i ułożyła na saniach.



— Chodź do karczmy, ty dzikie kocie!—zawołała do córki proboszcza — abyśmy się dowiedzieli, co masz do powiedzenia.

\*

\*

\*

W godzinę później siedział dziad na krześle pod drzwiami, w najporządniejszej izbie karczmy, a przed nim stała ta, która go ocaliła.

Gdy ją ujrzał przed sobą, wracającą z lasów, gdzie pałą węgiel, z osmolonemi rękami, z fajką w ustach, ubraną w krótki kozuch, suknię z wełnianej, samodziłowej materii w pasy, w podkutyh białych, z nożem w pochwie zatkniętym u paska — gdy ją ujrzał przed sobą z siwemi włosami zczesanemi gładko ponad starą, piękną twarzą, odrazu wiedział, że spotkał się ze sławną, szeroko znaną majorową z Ekeby.

Była ona najpotężniejszą niewiastą w Wermalandzie, panią siedmiu hut żelaznych, nawykłą do wydawania rozkazów. A on co? nędzny żebrak, skazany na śmierć, który nic nie posiada i czuje, że nigdzie nie jest pożądanym. Ciało jego dygotało ze strachu, gdy jej wzrok na nim spoczywał.

Stała milcząc i spoglądała na tego nędzarza, na jego czerwone, obrzmiałe ręce, wychudłą postać i śliczną głowę, która pomimo całego jego upadku i zaniedbania, uderzała każdego.

— To Gösta Berling, zwaryowany proboszcz?—zapytała po chwili.

Żebrak nie poruszał się.

— Jestem majorowa z Ekeby.

Teraz drgnął, złożył ręce i wzniósł oczy pełne

tęsknoty. Czego ona chce od niego? Chce zmusić go do życia? Był już tak blizki wieczystego spokoju. Lękał się jej potęgi, a ona zaczęła walczyć z nim, opowiadając, że córka proboszcza z Broby otrzymała napowrót sanie i worek mąki, a ona ma dla niego, jak dla tylu innych, schronienie w skrzydle pałacowem. Ofiarowała mu życie pełne rozrywek, przyjemności.

Ale on odparł, że musi umrzeć. Wtedy zaciśniętą pięścią uderzyła w stół i powiedziała mu otwarcie, co o nim sądzi.

— Więc umrzeć chce—umrzeć koniecznie? Ha, nie dziwiłoby jej to wcale, gdyby wogóle żył. Ale niech tylko spojrzy na swoje wynędzniałe ciało, osłabione członki, zmęczone oczy—sądzi więc, że tu dużo jeszcze pozostało do zabijania? On myśli, że aby być umarłym, trzeba leżeć pod zabitem wiekiem trumny? Zdaje mu się, że ja nie widzę po nim, iż już jest trupem? Widzę przecież na ramionach jego wykrzywioną trupią główkę i zdaje mi się, że widzę także robactwo, wylazące z jego oczodołów. Czy nie czuje, iż usta ma pełne ziemi? Czy nie słyszy, jak trzeszczą mu kości za każdym poruszeniem? Utopił się w wodce Gösta Berling i jest trupem. To, co się w nim obecnie rusza, to szkielet i jemu to nie chce darować życia — jeżeli to wogóle można nazwać życiem. Wprost jak gdyby chciał zazdrościć szkieletom ich tańca na grobie w noc księżycową.

— Niech się wstydzi, że był kiedykolwiek proboszczem. Godziwiej byłoby, gdyby teraz darów swoich użyć chciał na to, aby zdziałać coś dobrego



na tej bożej ziemi—może mi wierzyć. Dlaczego nie przyszedł do mnie odrazu? Byłabym się zajęła jego sprawą. Ha, chyba, że zaszczytnem mu się wydaje leżeć na wiórach i być nazwanym pięknem ciałem!

Żebrak siedział spokojnie, napół uśmiechając się, gdy słuchał jej gwałtownych słów, spadających na niego gradem. — Nic nie pomoże, nic nie pomoże—mówił sobie w duchu.—Odwieczne lasy czekają na mnie, a ona nie posiada władzy, aby duszę moją od nich odwrócić.

Majorowa umilkła i przeszła się kilkakrotnie po izbie, poczem usiadła przed ogniskiem, wyciągnęła nogi i łokcie wsparła na kolanach.

— Do kroćset dyabłów! — zakląła i roześmiała się. — Wszystko, co powiedziałam, jest tak prawdziwe, że mnie samej się dopiero teraz rozjaśniło. Czy nie zdaje mi się, że przeważna część ludzi na tym świecie to umarli lub napół żywi? Czy myśli, że ja żyję? Ależ nie! Ależ wcale nie! Proszę mi się przypatrzeć. Jestem majorową z Ekeby i śmiało powiedzieć mogę, że jestem najpotężniejszą w całym Wermlandzie. Gdy skinę jednym palcem, skacze na usługi radca ziemski, gdy skinę dwoma, słucha mnie biskup, a jeżeli dam znak trzema, cała kapituła, panowie rajcy i wszyscy obywatele ziemscy całego Wermlandu tańczyć gotowi na targu w Karlseronie. Do kroćset dyabłów, wierz mi proboszczu, że jestem tylko ustrojonym trupem. Pan Bóg najlepiej wie, ile we mnie życia.

Żebrak przechylił się naprzód i słuchał z naprężeniem. Stara majorowa siedziała u ogniska,

pochyliła się na boki i mówiła dalej, nie patrząc na niego:

— Czyż on sądzi, że gdybym była żyjącem stworzeniem, widząc go w takiej nędzy i smutku, oddającego się samobójczym myślom, nie potrafiłabym go z tego wyrwać. Znalazłabym dla niego lzy i modlitwy, któreby w nim wszystko poruszyły i byłabym ocaliła jego duszę grzeszną. Ale jestem trupem. Bóg jeden wie, jak mało we mnie życia.

— Czy on słyszał, że niegdyś byłam piękną Małgorzatą Celsing. Nie wczoraj się to działo, ale dziś jeszcze płakać mi się chce nad nią serdecznie. Dlaczego umrzeć musiała Małgorzata Celsing, a żyć musi Małgorzata Samzelius? Dlaczego żyć musi majorowa z Ekeby? Czy może mi to wytłumaczyć Gösta Berling? Czy wie, jak wyglądała Małgorzata Celsing? Smukła była i delikatna, uczciwa i niewinna. Należała ona do tych, nad których grobem anieli płaczą. Nie знаła złego, nikt jej nie sprawił przykrości, bo dla wszystkich była dobrą. I piękną była.

— Żył wtedy śliczny mężczyzna — nazywał się Altinger. Bóg raczy wiedzieć, jak się to stało, że zajechał w ustron, gdzie leżał majątek jej rodziców. Zobaczyła go Małgorzata Celsing — był piękny, był mężczyzną — i kochał ją. Ale ubogi był, postanowili tedy zgodnie czekać na siebie pięć lat — zupełnie jak w bajce.

— Pierwsze trzy lata upłynęły, gdy się zjawił inny zalotnik. Brzydki był, rodzice jej przypuszczali, że jest bogaty, więc obietnicami i namowami,



przekleństwami i biciem zmusili ją do poślubienia go. Tego dnia umarła Małgorzata Celsing.

— Od tego czasu przestała istnieć Małgorzata Celsing, żyła tylko majorowa Samzelius, a ta nie była dobrą, nie była skromną i niewinną, wierzyła w zło i nie zwracała uwagi na dobro.

— Wiesz dobrze, co dalej było. Mieszkaliśmy w Sjö z majorem—ale on wcale bogaty nie był, to też miałam ciężkie chwile.

— Wtedy powrócił Altringer, a powrócił bogaty. Nabył Ekeby i został naszym sąsiadem. Nabył też sześć innych posiadłości nad jeziorem. Dzielny był, przedsiębiorczy, prawdziwy mężczyzna. Wspomagał nas, jeździliśmy jego powozami, posyłał nam zapasy do kuchni, wina do piwnicy. Życie mi nappełnił radością i weselem. Gdy wojna wybuchnęła, odjechał major, ale co nas to obchodziło! Jednego dnia byłam w gościnie u niego w Ekeby, nazajutrz przybył on do Sjö. Ach co to była za radość!

— Potem zaczęto źle mówić o mnie i o Altringerze. Gdyby była żyła Małgorzata Celsing, byłoby ją to smuciło, ale mnie było to obojętne. Nie wiedziałam jednak wtedy jeszcze, że to pochodziło ztąd, iż byłam umarłą, bez czucia.

— Plotki o nas dotarły do mojego ojca i matki, mieszkających od nas daleko. Stara, nie namyślając się długo, przyjechała, aby się ze mną rozmówić.

— Pewnego razu, kiedy majora nie było, a ja z Altringerem i innymi siedziałam przy stole, przyjechała do Sjö. Patrzałam, jak wchodziła do sali, ale nie czułam, że to matka moja. Pozdrowiłam

ją, jak obcą i prosiłam, by zasiadła przy moim stole i jadła razem z nami. Chciała mówić ze mną jak z córką, ale powiedziałam jej, że się chyba myli, bo moi rodzice już nie żyją—umarli w dzień mojego ślubu.

— Wtedy zastosowała się do mojego życzenia—siedmdziesiąt lat miała, trzydzieści mil ujechała przez trzy dni, to też nie drożąc się wiele, usiadła za stołem i jadła wraz z nami—dzielna to była kobieta. Na moje ostatnie słowa odpowiedziała jednak uwagą:—To smutne, iż właśnie tego dnia dotknęła panią taka strata.

— Najsmutniejsze to — odparłam — było, że rodzice moi nie umarli o jeden bodaj dzień wcześniej, bo wtedy nie byłoby nic z całego wesela.

— Pani majorowa nie jest więc szczęśliwą w małżeństwie?—zapytała.

— Jestem—odrzekłam—teraz jestem szczęśliwą i będę zawsze szczęśliwą w myśl życzeń moich drogich rodziców.

— Na to ona zapytała, czy życzeniem moich rodziców było hańbę i wstyd sprowadzać na nich i na siebie i męża zdradzać? Mało szacunku okazuję rodzicom, skoro pozwalam ludziom brać siebie na języki.

— Muszą tak leżeć, jak sobie posłali — odpowiedziałam. A zresztą nieznajoma powinna wiedzieć, że nie pozwolę, aby ktoś ubliżał córce moich rodziców.

— Jadłyśmy tylko we dwie. Mężczyźni otaczający nas siedzieli w milczeniu, nie śmiejąc tknąć noża i widelca.



— Stara zabawiła dzień i noc, aby wypocząć. Ale póki patrzyłam na nią, nie mogłam pojąć, że to moja matka—ja wiedziałam jedno, że matka moja żyć przestała.

— Kiedy miała odjeżdżać, a ja stałam obok niej na stopniach, czekając na zajeżdżający powóz, rzekła do mnie:—Dążyłam tu po bezładnej drodze, w trzech dniach robiąc mil trzydzieści i nie zmęczyłam się. Lecz ze wstydu nad tobą drży moje biedne ciało, jak gdyby sieczone różgami. Oby się ciebie zaparto, jak ty się mnie zapałaś, odepchnięto, jak mnie odepchnęłaś! Oby gościniec był ci domem, rów przydrożny łóżem! Wstyd i hańba niech będą nagrodą twoją, oby cię inni policzkowali, jak ja cię teraz policzkuję!

— I wycięła mi silny policzek.

— Porwałam ją na ręce, zniosłam ze schodów i wsadziłam do powozu.

— Ktoś jest, że mnie przeklinasz?—zapytałam. — Ktoś jest, że mnie śmiesz bić? Tego nie zniosę od nikogo!

— I oddałam jej policzek. W tej chwili powóz ruszył, a wtedy, w tej chwili, Gösto Berlingu, wiedziałam napewne, że Małgorzata Celsing nie żyje. Ona była dobra, niewinna, nie znała złego. Aniołowie byliby na jej grobie płakali. Gdyby ona była żyła, nigdy nie śmiałabym była uderzyć rodzonej matki.

Żebrek u drzwi siedzący słuchał, a słowa te na chwilę przygłuszyły szum odwiecznych lasów. Ach, ta pani niżała się do niego, wyznając przed nim grzechy swoje, siostrą mu chciała być w strapieniu,

aby mu tylko dodać siły do życia. Dała mu do poznania, że i na barkach innych ludzi ciężą troski i grzechy. Podniósł się z lawy i podszedł do majorowej.

— Chcesz więc żyć, Gösto Berlingu?—zapytała glosem niemal zdławionym łzami.

— Dlaczego chcesz umrzeć? Mógłbyś być dzielnym proboszczem, nigdy jednak nie był Gösta Berling, któregoś ty utopił w wodce, tak promiennie czysty, jak Małgorzata Celsing, którą nienawiścią zdusiłam. Chcesz więc żyć?

Gösta padł przed nią na kolana, błagając: — Przebac, ale nie mogę!

— Jestem starą kobietą, zahartowaną w gorzkich zawodach, a siedzę tu i zadaję się z żebrakiem, którego znalazłam napół zmarzniętym w śniegu. Dobrze mi tak! Idźże więc, popelnij samobójstwo, a przynajmniej nie będziesz mógł nic opowiadać o mojej głupocie.

— Nie jestem samobójcą, lecz skazańcem. Nie utrudniaj mi walki—nie mogę żyć. Ciało moje oparowało duszę, to też oswobodzić ją pragnę, aby znalazła drogę do Pana.

— Więc sądzisz, że ona wleci do Boga?

— Żegnaj mi, majorowo Samzeliuś, żegnaj!

— Bywaj zdrow, Gösto Berlingu!

Żebrek wstał z klęczek i z pochyloną głową powlókł się ku drzwiom. Ta kobieta stawiała mu na drodze do odwiecznych lasów!

Doszedłszy do drzwi, musiał się odwrócić i spotkał się ze spojrzeniem majorowej, która siedziała



nieporuszona, patrząc za nim. Nigdy nie widział dotąd takiej zmiany w twarzy, więc przystanął i osłupiał wzrok w nią wlepił. Ona, która dopiero co wyglądała groźnie, siedziała teraz jak gdyby w zachwyceniu, a oczy jej płonęły miłością, pełną litosnego współczucia. Było coś w nim, w jego zdziwiałem sercu, co topniało pod jej spojrzeniem: oparł czoło o klamkę, podniósł w górę ramiona, objął niemi głowę i zakał, jak gdyby mu serce miało pęknąć.

Majorowa odrzuciła fajkę i podeszła ku niemu. Ruchy jej stały się miękkie, macierzyńskie.

— No, uspokój się, mój chłopcze! — szeptała.

I pociągnęła go ku sobie na ławę pod drzwiami, tak, że płakał z głową wspartą na jej kolanach.

— Chcesz więc umrzeć?

Zerwał się — musiała go powstrzymać przez mocą.

— Teraz powtarzam po raz ostatni, że możesz zrobić, co chcesz. To jedno tylko przyrzekam: jeżeli będziesz chciał żyć, wezmę córkę proboszcza z Broby do siebie i wychowam na uczciwego człowieka; wtedy będziesz mógł Panu Bogu dziękować, żeś ukradł jej mąkę. No cóż, dobrze?

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

— A więc to nie żart?

— Naturalnie, że nie, Gösto.

Nagle stanęły mu przed oczyma te wyleknie i rączyny. Biedne małeństwo znalazłoby więc opiekę i staranie, piętno poniżenia zostałoby z ciana.

jej starte, jak również zło z jej duszy. Teraz zamknięto mu drogę do wieczystych lasów.

— Ślubuję więc nie odbierać sobie życia, póki ona będzie pod opieką pani — odezwał się. — Wiedziałem, że majorowa silniejszą jest odemnie, że zmusi mnie do życia.

— Gösto Berlingu — rzekła majorowa uroczytym głosem — walczyłam o ciebie, jak o własne swoje zbawienie. Powiedziałam Bogu: jeżeli chociażby ślad Małgorzaty Celsing pozostał we mnie, uczyni, aby ona mu się objawiła i nie pozwoliła życia sobie odbierać. I Pan wysłuchał mojego błagania, a ty, ujrawszy ją, nie mogłeś odejść. Ona to podszepnęła mi, że gdy zabezpieczę dziecko, zaniechasz myśli o śmierci.

— Ach, wy dzikie ptaki, bujacie tak śmiało, ale Bóg zna sieci, które was schwytać potrafią.

— On jest wielkim, potężnym Bogiem — odezwał się Gösta Berling. — Zadrwił sobie ze mnie, odepchnął mnie, ale umrzeć mi nie pozwala. Niech się stanie wola Jego.

Od tego dnia zmienił się Gösta Berling w rezydenta Ekeby. Dwukrotnie usiłował opuścić pałac i żyć z własnej pracy. Za pierwszym razem dała mu majorowa dom w pobliżu Ekeby; przeniósł się tam i próbował żyć z pracy rąk. Wiodło mu się dobrze, ale po jakimś czasie sprzykrzyła mu się samotność i codzienna praca i znów powrócił do Ekeby. Drugim razem przyjął miejsce nauczyciela domowego na zamku Borg do młodego hrabiego Henryka Dohna. Tam zakochał się w Ebbie Dohn, siostrze hra-



biego, a kiedy ta umarła właśnie w chwili, gdy mu się zdawało, że pozyskał jej wzajemność, porzucił myśl stania się czemś innym, jak rezydentem z Ekeby. Zdawało mu się, jak gdyby dla proboszcza złożonego z urzędu zamknięte były wszystkie drogi do odzyskania czci i imienia.

## NOC WIGILIJNA.

Sintram nosi imię złośliwy właściciel Forsu o ciężkiem cielsku, długich, małych rękach, łysej głowie, mający ohydne, wstrętne upodobanie w sianiu niezgody.

Imię Sintram nosi ten, który na parobków przyjmuje tylko włóczęgów i pijaków, który w służbie swojej ma tylko kłótlive, niegodziwe dziewczęta, który psy lubi dręczyć do wściekłości, wbijając im szpilki w pysk—ten, któremu najmilej jest w towarzystwie złych ludzi i rozżartych zwierząt.

Imię Sintram nosi on, którego największą przyjemnością jest przebrać się za dyabła i przypiąwszy sobie rogi, ogon i kopyta, wyskoczyć nagle z ciemnych kątów, z piekarskiego pieca lub z poza stosu drzewa, strasząc bojaźliwe dzieci i zabobonne kobiety.

Imię Sintram nosi on, który się cieszy, gdy mu się uda odwieczną przyjaźń zamienić w płomienną nienawiść i zatruć serca kłamstwem.



Ten to Sintram pewnego dnia zjawił się w Ekeby.

\*

\*

\*

— Wciągnijcie do kuźni wielkie sanie z drzewa, postawcie je na środku, przyłóżcie taczkami odwróconymi dnem do góry, a będziecie mieli stół. Hurra! wiwat stół!

— A teraz dawać stolki i wszystko, na czem siedzieć można. Dawać tu trójnogi szewkie i puste skrzynie! Dawać połamane krzesła bez poręczy, dawać stare sanie bez pudła i starą karocę! Ha, ha, dawać tu starą karocę! To będzie mównica. Patrzajcie, jedno koło odpadło, a pudła niema wcale! Pożostał tylko sam kozioł. Obicie podarte, włosie z niego wylazi, skóra poczerwieniała ze starości. Ale wysoki jak kamienica jest ten grat stary. Trzymajcie, trzymajcie, bo się wywróci!

Hura! hura! Wigilia na Ekeby. Za jedwabnymi zasłonami śpią major z majorową, śpią pewni, że i skrzydło rezydentów śpi również. Parobki i dzieci wczesną mogą spać, syci jadłem świątecznym, sen po ciężkiem piwie; ale panowie rezydenci! Czy wogóle mógłby kto przypuścić, że ci panowie sypiają

Bosi kowale nie stukają dziś żelaznemi kłeszczami, osmolone chłopaki nie ciągną taczek z węglami, wielki młot zwisa z pułapu, niby ramię z za-

ciśniętą pięścią. Kowadło puste, piece nie otwierają swoich czerwonych paszcz do polknięcia węgla, miechy nie trzeszczą. Boże Narodzenie dziś—kuźnia odpoczywa.

Odpoczywa, odpoczywa, kiedy kawalerya nie śpi! Długie obcęgi żelazne wetknięte w podłogę w dziobach swoich trzymają lojówki. Z ogromnego miedzianego kotła bucha ku ciemnemu sklepieniu niebieski płomień ponczu. Rogową latarkę uczepił Beerencrutz u wiszącego młota. Żółty poncz połyskuje w kryształowej wazie jak słońce. Jest stół, są ławy. Rezydenci urządzają sobie w kuźni Wigilię.

Gwaro tu, wesoło — rozbrzmiewają śpiewy i muzyka. Hałas ten jednak nie budzi nikogo—wszystko tonie w potężnym szumie potoku.

Gwaro tu i wesoło. Gdyby ich tak zobaczyła teraz majorowa!

I cóż? Przysiadłaby się do nich zapewne i wypila z nimi szklankę ponczu.

Dzielna to niewiasta, nie ulęknie się ani wrzaskliwej pieśni pijackiej ani partyi kart.

Najmożniejsza to kobieta w Wermlandzie: rubaszna jak chłop, a dumna jak królowa. Lubi pieśni, grzmiące trąby myśliwskie i dźwięki skrzypiec. Lubi wino, zabawę, długie stoły otoczone wesółymi biesiadnikami. Patrzy z przyjemnością, jak znikają zasoby, jak tańczą i bawią się w komnatach i salach a boczne skrzydło wypełnia się rezydentami.

Patrzcie, jakim oni kołem otoczyli wazę ponczu! Dwunastu ich, dwunastu mężów. Nie bohaterowie to mody, nie jednodniowi tryumfatorowie, lecz



mężowie, których sława długo kwitnąć będzie w Wermlandzie, odważni mężowie, dzielni mężowie! Nie wyschłe z nich pergaminy, nie kutwy jakieś zgarniające złoto do kabzy, lecz ubodzy ludziska, ale żyjący swobodnie, bez troski od rana do nocy.

Obecnie stoi skrzydło rezydentów od lat pustką. Ekeby przestało być schronieniem bezdomnych kawalerów. Pensyonowani oficerowie, podupadli panowie obywatele przestali objeżdżać gościńce Wermlandu, ale w powieści zmartwychwstaną ci weseli, swobodni, wiecznie młodzi panowie rezydenci.

Wszyscy ci sławni mężowie umieli grać na jednym lub nawet na kilku instrumentach. Wszyscy są tak pełni szczególnych właściwości, zwrotów, pomysłów i piosenek, jak mrowisko pełne jest mrówek, ale każdy pozatem posiada jeszcze szczególną jakąś właściwość, szacowny przymiot rycerski, który go odróżnia od reszty.

A więc między tymi, którzy otoczyli wagę ponczu, wymienię najpierw Beerencreutza, pułkownika z długimi, siwymi wąsami, słynnego karciarza i śpiewaka pieśni Bellmanna, a obok niego przyjaciela jego i towarzysza bitew, małowównego majora, słynnego strzelca Andrzeja Fuchsa; trzeci w ich kółku, to mały dobosz, który długi czas był sługą pułkownika, ale został posunięty do stanu rycerskiego na podstawie wielkiej zręczności w przyrządzaniu ponczu i umiejętności śpiewania. Dalej wspomnieć należy o sławnym chorążym, Rutgerze Omeclou, malującym się jak kobieta, podbijaczu serc, w peruce, z halsbindą i żabotem. Był on jednym z najwybitniejszych rycerzy, a był nim również Chrystyaan

Berg, ów silacz, kapitan, wielki bohater, ale tak łatwy do wyprowadzenia w pole, jak ów olbrzym z bajki. W towarzystwie tych dwóch widywano też często niskiego, okrągłutkiego jak kulka, patrona Juliusza, wesołego i zabawnego, z otwartą głową, mówcę, malarza, pieśniarza i opowiadacza anegdot. Dwcip swój ostrzył sobie najczęściej na podagrycznym chorążym i głupim olbrzymie.

Przybywa tu również ogromny Niemiec Kewenhüller, wynalazca samochodu i balonu, ten, którego imię rozbrzmiewa jeszcze po szumiących lasach. Rycerz to był z rodu i postawy, z długimi, podkręconymi wąsami, śpiczastą bródką, orlim nosem i małymi skośnymi oczkami, otoczonymi siecią zmarszczków. Tu bawi też wielki wojownik Krzysztof, który nigdy nie opuszczał czterech ścian rezydenckiego skrzydła, chyba, gdy się miało zapołować na niedźwiedzia lub planowano jakąś zuchwałą, awanturniczą wyprawę. Obok niego siedzi wuj Aberhardt, filozof, który sprowadził się na Ekeby nie dla zabawy i rozrywek, lecz aby, nie troszcząc się o chleb powszedni, mógł wykończyć swoją wielką pracę z dziedziny najwyższej z nauk.

Na końcu wymienię najlepszych z grona, a więc: łagodnego Löwenberga, pobożnego, nazbyt dobrego na ten świat niegodny, który też nie mógł zrozumieć wszystkich wybryków towarzyszków i Liliencrona, wielkiego muzyka, który miał swój dom i zawsze do niego tęsknił, ale przecież znowu wracał do Ekeby, gdyż on potrzebował bogactw i odmiany, aby mógł zmieścić życie.

Wszyscy wymienieni, w liczbie jedenastu, mieli



już młodość za sobą i spory krok zrobili ku starości, wśród nich jednak znajdował się jeden, który miał najwyżej trzydzieści lat i którego zarówno duchowe, jak fizyczne siły były jeszcze w najlepszym stanie. Był to Gösta Berling, on, który sam jeden większym był mówcą, śpiewakiem, muzykiem, myśliwym, pijanicą i karcierzem, niż wszyscy tamci razem.

Przyjrzyjcie mu się teraz, kiedy stanie na mównicy. Ciemność opuszcza się na dół od poczerwiałego pulapu ciężkimi zwojami. Z pośród nich wylania się jego jasna głowa, niby głowa młodego boga, jednego z tych, którzy w chaos wnieśli światło. Stał wysmukły, piękny, żądny przygód.

A przemawia z głęboką powagą:

— Rycerze i bracia! Północ nadchodzi, ucztą się przeciąga, czas wypić zdrowie trzynastego biesiadnika!

— Kochany bracie Gösto — woła patron Juliusz — tu niema trzynastego, wszak nas tylko dwunastu!

— Na Ekeby rok rocznie ktoś umiera — mówił dalej Gösta głosem coraz bardziej ponurym. — Jeden z gości rezydencckiego skrzydła umiera, jeden z pośród wesółych, swobodnych, wiecznie młodych towarzyszy. Tak. Nam nie wolno się starzeć. Gdy drżące nasze dłonie nie będą mogły utrzymać kieliszka, gdy nasze napół ośleple oczy nie będą mogły rozróżnić kart, czemże będzie dla nas wtedy życie, a czem my dla niego? Jeden z trzynastu, którzy obchodzą Wigilię w kuźni, musi umrzeć, ale co rok przybywa nowy, aby dopełnić liczby — mąż to bywa

doświadczony w rzemiośle wytwarzania radości, mąż, który skrzypce dzierżyć umie, w karty zagrać potrafi, on wyrówna cyfrę. Motyle powinny umieć zginąć, zanim słońce zajdzie. Zdrowie trzynastego!

— Ależ Gösto, wszak nas tylko dwunastu! — zaprzeczali biesiadnicy i żaden nie tknął kieliszka.

A Gösta Berling, którego wszyscy nazywali poetą, chociaż nigdy w życiu nie napisał wiersza, ciągnął dalej z niezamąconym spokojem:

— Rycerze i bracia! pomnijcie, czym jesteście. Wy jedynie siejecie radość i wesele w Wermlandzie. Wy dodajecie ducha pociągnięciom smyczka, wy ożywiacie tańce, wy sprawiacie, że śpiew i muzyka rozbrzmiewają po kraju. Gdyby nie wy, zniknęłyby z widowni tańce, powiędłyby róże, przestałyby rosnąć kwiaty, umilkłyby pieśni, a w tym pięknym kraju nie byłoby nic, krom hut żelaznych i obywateli ziemskich. Radość istnieć będzie, póki wy będziecie żyli. Sześć lat obchodziłem Wigilię w kuźni na Ekeby, a nigdy nie wzbraniał się nikt pić zdrowia trzynastego. Któż z was lęka się śmierci?

— Ależ Gösto, skoro nas jest tylko dwunastu, jakże mamy pić zdrowie trzynastego? — wołali.

Głębokie skupienie maluje się na twarzy Gösty.

— Jest nas tylko dwunastu? — pyta. — A dlaczegoż tak jest? Mamyż wyrzec? Czyż na przyszły rok ma nas być tylko jedenastu? — a następnego już tylko dziesięciu? Mamyż przejść do legendy? czyż tylko gromadka nasza ma wyginać? Wzywam go, owego trzynastego, gdyż wstałem, aby wznieść jego zdrowie. Z głębin morza, z wnętrza ziemi, z niebios



sklepienia, z piekielnych odmętów niech przybywa  
uzupełnić liczbę naszą!

Wtem zaszumiało w kominie, płomień bu-  
chnęły w górę—zjawił się trzynasty.

Cały obrośnięty, z ogonem i kopytami, z ro-  
gami i śpiczastą bródką przybył— a na widok jego  
podnieśli się mimowoli biesiadnicy z okrzykiem  
głośnym.

A Gösta Berling z zapalem wykrzykuje:

— Stawil się trzynasty! Zdrowie trzynastego!

Przybył więc stary wróg ludzkości do zuchwal-  
ców, zakłócających spokój nocy świętej. Przybył  
przyjaciel czarownic z Lysej góry, on, który swoje  
kontrakty podpisuje krwią na czarnym jak węgiel  
papierze, on, który siedm dni tańczył z hrabiną  
z Ivarsnaes, a wypędzić go nie mogło siedmiu  
księży.

Błyskawicą przemknęły rozmaite myśli po glo-  
wach starych awanturników. Usiłują odgadnąć, po  
którego z nich truził się po nocy.

Niejeden przerażony miał ochotę uciec, ale nie-  
bawem zrozumieli, że nie przybył, aby ich zabrać  
w swoje ciemne otchłanie, lecz że zwabił go brzęk  
kieliszków i śpiewy. Chciał wziąć udział w radości  
ludzi w świętą noc wigilijną i zbyć się na chwilę  
ciężaru panowania w tym czasie poświęconym u-  
ciesze.

Ej, panowie, panowie! Czy który z was pomy-  
ślał, że to dziś Wigilia? Teraz śpiewają aniołowie  
pasterzom, pozdrawiając ich, teraz leżą dzieci w łó-  
żeczkach niespokojnie, aby nie zaspaly mszy rannej.  
Wkrótce czas będzie pozapalać światła w kościele

w Bro, a wysoko, w lesie zapalil już parobczak ja-  
kiś stos trzeszczących gałązek jedliny, aby jego u-  
kochanej rozjaśniły drogę.

Na wszystkich chatach poustawiały kobiety na  
oknach świece, które zapalą, gdy pobożni będą prze-  
chodzili do kościoła. Organista przez sen powtarza  
sobie pieśni, stary proboszcz, leżąc w łóżku, próbu-  
je głosu, czy mu dopisze, gdy będzie miał śpiewać:  
„Chwała Panu...“

Ach, panowie rezydenci, lepiej byłoby, gdyby-  
ście tę spokojną noc przepędzili w łózkach, zamiast  
bratać się z księciem ciemności.

Ale oni witali go okrzykami, jak to już Gösta  
uczynił. Postawili przed nim szklanicę gorącego na-  
poju i usadzają go na honorowym miejscu. Beer-  
creutz proponuje mu partyjkę, patron Juliusz śpie-  
wa najpiękniejsze pieśni, a Omeclou rozmawia  
z nim o pięknych kobietach, o tych niebiańskich  
istotach, które osładzają nam życie. Rogaty, zado-  
wolony z przyjęcia, wspiera się królewskim rucmem  
o kozoł i zbliża do skrzywionych ust pełną czarę.

Gösta Berling, naturalnie, wygłasza mowę na  
cześć jego.

— Wasza wielmożność!—mówi—długo oczeki-  
waliśmy tu wasci na Ekeby, gdyż zapewne wasza  
wielmożność nie ma dostępu do innego raju. Tu  
żyje się, nie siejąc, ni orząc, jak waszej wielmo-  
żności zapewne nie tajno. Tu pieczone gołąbki sa-  
me wpadają do gąbki—tu płynie mocne piwo i słod-  
ka wódka we wszystkich strumieniach i potokach.  
Tu dobrze się nam żyje, jak wasza wielmożność  
widzi.



— My, rezydenci tęskniliśmy do waszej wielmożności, bo jest nas liczba niezupełna. Jesteśmy dwunastką, ową cyfrą, która od wieków przewija się w poezyi. Dwunastu nas było, kiedyśmy światem rządzeni z góry Olimp, ginącej w obłokach, dwunastu, gdyśmy jako ptaki zamieszkiwali zieloną koronę Yggdracilu. Alboż nie w dwunastkę siedzieliśmy naokół stołu króla Artura? A Karol Wielki, czyż nie miał orszaku z dwunastu? Jeden z nas był Torem, inny Jowiszem — i dziecko rozpozna w nas bogów. Blask boski przeniknie i przez lachmany, lwią grzywę rozpozna się i pod osłą skórą. Czas przyćmił blask nasz, a oto kuźnia stała się nam Olimpem, skrzydło pałacowe Walhallą.

— Lecz nie byliśmy dotąd w pełnej liczbie. Wiadomo przecież, iż w każdej dwunastce, o której poezya wspomina, znajdować się musiał jakiś Loke, jakiś Prometeusz, jakiś Ganelon. Tego nam brakło.

— Wasza wielmożność, witam was!

—Patrzcie, patrzcie!—zawołał szatan—co za piękne słowa. Ale ja, niestety, nie mam czasu na odpowiedź. Interesa, moi przyjaciele, interesa! Muszę dalej ruszyć, inaczej służyłbym panom bardzo chętnie. Dzięki za serdeczne przyjęcie, towarzysze. Do widzenia!

Tedy pytają, gdzie tak spieszy, a on odpowiada, że pani na Ekeby, majorowa we własnej swojej dobie, oczekuje go, aby odnowić z nim kontakt.

Wielkie zdziwienie ogarnia rezydentów. Przechodzą myślą wszystkie właściwości majorowej: surowa to, ale dzielna niewiasta. Przewiezie transport

ściami chcemy mieć, a majorową odstępujemy ci z przyjemnością.

— Cóż Gösta mówi? Co Gösta na to? — pytał łagodny Lövenberg. — Gösta Berling niech mówi. W takiej ważnej sprawie musimy znać jego zapatrywanie.

— Wszystko to niedorzeczności! — odezwał się Gösta Berling. — Rycerze, nie dajcie mu się obalamucić! Czemże jesteśmy wobec majorowej? Z duszami naszymi niech sobie będzie jak chce, ale dobrowolnie nie staniemy się niewdzięcznymi lajdakami, nie postąpimy jak łotry i zdrajcy. Zbyt długo jadłem chleb majorowej, aby ją porzucić w nieszcześciu.

— A więc idźże sobie do piekła, Gösto, skoro taką masz ochotę! My wolimy sami mieć Ekeby w zarządzie.

— Ależ poszaleliście chyba, lub zapiliście wszystek wasz rozum! Myślicie, że to wszystko prawda? Myślicie, że to jest dyabeł? Nie poznajecie, iż wszystko wierutne kłamstwo?

— Patrzcie! patrzcie, patrzcie!—dziwi się przybysz.—On nie wie, że jest na najlepszej drodze do stania się do piekła, a przecież już siedm lat bawi na Ekeby! Nie widzi, jak blizki już jest!

— Ale co tam, stary! Przecież ja sam pomogłem ci wleźć w ten piec.

— Jak gdyby to czemu się sprzeciwiało! Jak gdybym dlatego nie mógł być dyablem? Tak, tak, Gösto Berlingu, rozwinąłeś się wcale dobrze pod wpływem majorowej.



— Ona mi życie ocaliła!—rzekł Gösta.—Czem-  
żebym był, gdyby nie ona?

— Patrzcie, patrzcie! Jak gdyby ona w tem nie miała własnej korzyści, że cię zatrzymała w Ekebyl. Umiesz jej tu ściągać ludzi, masz do tego nadzwyczajny talent. Raz usiłowałeś się od niej uwolnić, dała ci dom i pracowałaś, chcąc zarabiać na życie. Codziennie w tedy przechodziła mimo twego domu, a ładne dziewczęta wodziła z sobą. Pewnego razu zjawiała się i Maryanna Sinclair—wtedy rzuciłeś precz łopaty i fartuch i wróciłeś do zamku.

— Droga prowadziła popod mój dom, ty głupcze.

— Naturalnie, że prowadziła. Później udałeś się do Borgu, jako nauczyciel Henryka Dohn, gdzie omal nie zostałeś zięciem hrabiny Marty. Któż winien, że hrabianka Ebba Dohn dowiedziała się, iż jesteś wypędzonym proboszczem i dostałeś kosza? Majorowa temu winna, Gösto Berlingu. Chciała cię znowu mieć przy sobie.

— Ej, co tam! Ebba Dohn umarła wkrótce, i takbym jej nie dostał—odparł Gösta.

Wtedy przystąpił szatan tuż do niego i syknął mu w twarz:

— Umarła, naturalnie, że umarła. Zabiła się przez ciebie, tak, ale tobie nikt tego nie powie-dział.

— Niezły z ciebie dyabell!—rzekł Gösta.

— Majorowa wszystko to urządziła, powiadam ci! Chciała cię znowu mieć w skrzydle rezydent-ckiem.

Gösta w głos się roześmiał.

— Rzeczywiście niezgorszy z ciebie dyabell! — zawołał!—Dlaczego nie mielibyśmy zawrzeć z tobą kontraktu? Możesz nam więc dostarczyć owych siedmiu posiadłości, jeżeli chcesz.

— Dobrze, ale się już nie cofaj!

Rezydenci odetchnęli. Do tego doszli, że nie mogli nic przedsiębrać bez Gösty. Gdyby on się był nie zgodził, nie byłoby nic z układu. A przecież to nie bagatelna rzecz dla rezydentów otrzymać siedm hut żelaznych!

— Pamiętajcież jednak — zwrócił się Gösta do towarzyszków—że przyjmujemy owe siedm posiadłości dla ratowania naszych dusz, nie zaś dla zamienienia się w bogatych dziedziców, którzy tylko pieniądze liczą i żelazo ważą. Nie chcemy być ani zasuszonemi pergaminami, ani kutwami, zbierającymi złoto, lecz chcemy być i pozostać rycerskimi.

— Złote słowa prawdy!—mruknął szatan.

— Jeżeli więc chcesz nam ofiarować owe siedm włości na rok, przyjmujemy je, ale jedno pamiętaj: jeżeli w tym czasie uczynimy coś rozumnego, użytecznego, albo też niehonorowego, tedy możesz nas wszystkich dwunastu zabrać po upływie roku, a włości nasze darować komu zechcesz.

Szatan zacierał ręce z uciechy.

— Natomiast, jeżeli się zawsze będziemy zachowywali jak prawdziwi rycerze—mówił dalej Gösta—nie wolno ci będzie odtąd zawierać kontraktu na Ekeby i nie otrzymasz żadnej duszy ani od nas, ani od majorowej.

— Trudne warunki—rzekł dyabell.—Ach Gösto, mógłbyś mi przecież darować jedną duszę, jedną ma-



lutką duszyczkę. Czy nie mógłbym dostać majorowej? Dlaczego oszczędzać majorową?

— Nie handluję tym towarem!—wrzasnął Gösta.—A jeżeli chcesz koniecznie zabrać ztąd jakąś duszę, weź sobie starego Sintrama z Forsu: ten dojrzały jest do piekła—ręczę!

— No, no, no! Słuchajcież—odezwał się przybysz, nie zmrużywszy oka. Rezydenci więc, albo Sintram—wszystko jedno. W każdym razie tłusty będzie rok.

Poczem spisano kontrakt krwią z małego palca Gösty na czarnym papierze szatana i jego piórem gęsiem.

A gdy się to już stało, rozradowali się rezydenci. — Wszystkie piękności świata będą należały do nich przez cały rok — a potem znajdzie się już jakiś sposób.

Odsuwają krzesła, podają sobie ręce i tworzą krąg na okół kotła z ponczem, stojącego na środku czarnej podłogi i puszczają się w dzikie płasy.

W samym środku koła w ogromnych podskokach tańczy dyabeł, nakoniec jak długi pada obok kotła i pije.

Wtedy rzuca się też na ziemię obok niego Beerrenkreutz i Gösta Berling, a za nimi wszyscy sadowią się kręgiem wkoło kotła, który nachylają sobie do ust kolejno. Nakoniec przewraca się kocioł i wszystkich gorący, lepki trunek wylewa się na leżących.

Kiedy się podnoszą, klnąc głośno, niema już ani śladu z dyabła, ale jego złote obietnice unoszą się niby płomieniste korony nad głowami rezydentów

## UCZTA ŚWIĄTECZNA.

W dzień Bożego Narodzenia daje majorowa Samzeliusowa wielkie przyjęcie na Ekeby.

Siedzi wtedy za stołem, nakrytym na pięćdziesiąt osób. A występuje w całej swojej okazałości; znikły gdzieś: krótki kozuch, pasiasta, samodziałowa suknia i fajeczka—dziś szeleszcze jedwabiami, złote bransolety zdobią jej ręce, perły chłodzą białą szyję.

A gdzież przebywają panowie rezydenci? gdzież ci, którzy ostatniej nocy, w czarnej kuźni z lśniącego, miedzianego kotła pili zdrowie nowych właścicieli? — Oto w kącie, pod piecem siedzą, przy osobnym stole; dziś miejsca dla nich nie ma przy głównym stole. Do nich docierają potrawy późno, a wina w małej ilości; ku nim nie biegną spojrzenia pięknych pań, dowcipy Gösty nie robią tam w gorze wrażenia.

Grupa rezydentów przypomina dziś oswojone żrebaki, zmęczone dzikie zwierzęta. Tylko godzinę spali tej nocy, pojechali bowiem przy blasku po-



chodni i światło gwiazd na mszę pasterską. Przejęli się widokiem oświetlonego kościoła, śpiewami nabożnemi i serca ich złagodniały. O Wigilii w kuźni zapomnieli, jak się zapomina snu przykrego.

Potężna, można jest majorowa z Ekeby. Któż odważyłby się podnieść na nią rękę, kto śmiałyby usta otworzyć, by przeciw niej świadczyć? Bez wątpienia nie biedni rezydenci, którzy lata całe chleb jej jedli i pod jej dachem mieszkali. Sadza ich też, gdzie jej dogodnie, mogłaby im drzwi zamknąć, gdyby chciała, a oni nie mogą się nawet usunąć z pod jej władzy. Biedni oni, nie mogą żyć zdala od Ekeby.

Przy głównym stole bawią się dobrze: tam błyszczą piękne oczy Maryanny Sinclair, tam dźwięczy srebrzysty śmiech wesolej hrabiny Dohn.

Przy stole panów rezydentów jednak cisza. Czyż nie byłoby słusznie i sprawiedliwie, aby ci, których majorowa ma zamiar zgubić, siedzieli przy tym samym stole, co reszta gości? Co za hańbiące urządzenie z tym stołem w kącie pod piecem! Jak gdyby drużyna rezydentów niegodna była towarzysstwa panów!

Rezydenci wyglądają jak dzieci postawione za karę do kąta. Powoli zaczynają w nich nurtować myśli minionej nocy. Jak nieśmiali goście nasuwają się wesole pomysły, zabawne kłamstwa przy stole w kącie. Natomiast coraz natarczywiej wstępują w mózgi obietnice nocne i gniew nocny. Patron Juliusz usiłuje dla zabawy wmówić w silacza, kapita- na Chrystyana Berga, że pieczonych jarząbków obnoszonych obecnie przy głównym stole nie starczy

dla wszystkich gości—ale pomysł ten nie wywołuje wesolego śmiechu.

— Nie może ich wystarczyć—mówi patron Juliusz — wiem przecież, ile ich było. Ale nie trap się tem, kapitanie; dla nas są w rezerwie pieczone wrony.

Lecz jedynie pułkownik Beerencrutz skrzywił usta do słabego uśmiechu pod nastroszonym wąsem. Gość zaś przez cały czas ma taką minę, jak gdyby nosił się z myślą zamordowania kogoś.

— Nie jestże każda potrawa dostatecznie dobra dla rezydentów?—rzucił tylko pytanie.

Ale w tej chwili nadchodzi pełny półmisek przepysznych jarząbków do bocznego stołu.

Kapitan Chrystyan jednak jest już wściekły. Przez całe życie były największą jego antypatyą wrony — te obrzydliwe, hałaśliwe stworzenia. Taka była nienawiść jego, że w jesieni przebrał się na pośmiewisko wszystkim za kobietę jedynie dlatego, aby mógł się do nich zbliżyć na odległość strzału, kiedy kradły właśnie zboże u polu. Udało mu się nieraz zaskoczyć je wiosną na miłośnem gruchaniu i kładł je trupem w gołym polu. Latem wyszukiwał ich gniazd, wybierał z nich piszczące, nagie młode, lub niszczył napół wyklute jaja.

Teraz przysuwa sobie półmisek z jarząbkami.

— Myślisz, że ich nie poznaję? — huknął na służącego. — Myślisz, że muszę je słyszeć kraczące, by je rozpoznać? Niech was dyabli wezmą, skoro się ośmielacie podać Chrystyanowi Bergowi wrony! Dyabli niech was porwą, mówię!

To rzekłszy, porywa jednego jarząbka za dru-



gim i ciska o ścianę. Sos i tłuszcz rozpryskują się naokół. Zmiażdżone ptaki odbijają się od ścian i opadają na podłogę. A cała drużyna raduje się.

Wtem do uszu rezydentów dolatuje gniewny głos majorowej.

— Za drzwi z nim!—woła do służby.

Ale nikt nie ma odwagi. Wszak to siłacz, ten Chrystyan Berg.

— Wyrzucicie go za drzwi!

On słyzy rozkaz. I groźny w swoim gniewie odwraca się do majorowej, jak niedźwiedź od pobitego wroga zwracający się do nowego napastnika, Podchodzi do stołu nakrytego w kształt podkowy. Podłoga trzeszczy pod krokami olbrzyma. Staje naprzeciw niej, przedzielony tylko stołem.

— Wyrzucicie go za drzwi! — woła raz jeszcze majorowa.

Ale on jest wściekły: jego zmarszczone czoło, potężna, zaciśnięta pięść budzi postrach. Ogromny jest jak olbrzym i jak olbrzym silny. Goście na równi ze służbą drżą, nie śmiejąc się go dotknąć. Któżby się na to odważył, zwłaszcza teraz, gdy gniew zmysły mu odebrał?

Stoi naprzeciw majorowej i sroży się.

— Rzucilem wrony o ścianę. Alboż nie miałem prawa?

— Precz ząd, kapitanie!

— Ty babo! Chrystyanowi Bergowi podawac wrony! Gdybym ci odplacił, jak zasłużyłaś, zabrałbym cię razem z tysiącem dyabłów...

— Do stu dyabłów, Chrystyanie Bergu, nie walc się kłąć—tu wolno kłąć tylko mnie jednej.

— Myślisz, że się ciebie zlekne, czarownico? Czy myślisz, że nie wiem, zkąd masz te siedm włości?

— Milcz, kapitanie!

— Kiedy Altringer umierał, dał je twojemu mężowi, bo byłaś jego kochanką.

— Milcz, powiadam ci!

— Wierną byłaś żoną, Małgorzato Samzelius! A major spokojnie przyjął siedm wsi, powierzył ci ich zarząd i udawał, że o niczem nie wie. Ale dyabeł wszystko to sobie zapisał. Teraz koniec już przyjdzie na ciebie!

Majorowa siadła, blada jest i drży na całym ciele. Po chwili przyznaje mu słuszność dziwnie cichym głosem.

— Prawda, koniec mój się zbliża, Chrystyanie Bergu. Prawdę powiedziałaś.

Na ten dźwięk głosu zadrżał siłacz, rysy mu się przeciągnęły, łzy stanęły w oczach.

— Pijany jestem—zawołał.—Nie wiem sam, co mówię. Nic nie powiedziałem. Psem i niewolnikiem, niczem więcej byłem dla niej przez lat czterdzieści. Ona jest Małgorzatą Celsing, której służyłem życie całe. Nic złego na nią nie mówię. Czyż mógłbym powiedzieć coś na piękną Małgorzatę Celsing? Jestem psem, który strzeże jej drzwi, niewolnikiem, dźwigającym jej kajdany. Jej wolno mnie bić, nogami deptać — widzicie przecież, iż milczę i cierpię. Czterdzieści lat ją kochałem. Jakże mógłbym coś o niej powiedzieć?

I przedziwny sprawia widok, gdy się rzuca jej do kolan i prosi o przebaczenie, a ponieważ ona siedzi na drugim końcu stołu, obchodzi go na kola-



nach, póki do niej nie dotrze; wtedy pochyła się, całuje kraj jej sukni i łzami zrasza podłogę.

Opodal majorowej siedzi mały, niepozorny człowieczek. Ma on kędzierzawe włosy, małe, skośne oczy i wystającą dolną szczękę. Podobny jest do niedźwiedzia. Jestto małowówny, nie narzucający się nikomu człowiek, bo też nie obchodzi go nie, ani świat, ani ludzie. To major Samzelius.

Słyszac ostatnie słowa kapitana, podniósł się on, podniosła się i majorowa i wszyscy goście w liczbie pięćdziesięciu uczynili to samo. Kobiety uderzyły w płacz z obawy przed tem, co ma nastąpić. Mężczyźni stali bezradni, a u stóp majorowej klęczy kapitan Chrystyan i całuje kraj jej szaty, a łzy zraszają posadzkę komnaty.

Szeroka, włochata dłoń majora zaciska się powoli—podnosi rękę.

Ona jednak przemawia najpierw. W głosie jej jest jakiś głuchy dźwięk, którego nigdy w nim nie było dotąd.

— Porwałś mnie!—wola. — Przybyłeś jak raba i porwałś mnie. W domu zmuszono mnie biciem, głodem i przekleństwem przyjąć cię za męża. Postąpiłam wobec ciebie, jak na to zasłużyłeś.

Szeroka, włochata pięść majora zaciska się groźnie. Majorowa cofa się o krok, poczem dalej mówi:

— Żywy węgorz wije się pod nożem, kobieta, zmuszona do małżeństwa, szuka sobie kochanki. Chcesz mnie bić za to, co się stało przed laty dwudziestu? Dlaczegoż nie biłeś mnie wtedy? Nie wiedziałeś, że on mieszkał w Ekeby, my zaś w Sjö?

Nie pamiętasz, jak nas wydzwignął z nędzy? Jeździliśmy jego powozami, spijaliśmy jego wino. Czyż nie wypełniało twoich kieszeni jego złoto? Czyż nie przyjąłeś owych siedmiu włości? Wtedy milczałeś i przyjąłeś wszystko; wtedy trzeba było użyć pięści—wtedy trzeba było użyć pięści!

Tu mąż jej odwraca się i spogląda po obecnych. W twarzach ich czyta, że przyznają jej słuszność, że wszyscy byli przekonani, iż przyjął pieniądze i dobra za przyzwolenie.

— Nic nie wiedziałem!—zawołał, tupiąc nogą.

— Szczęście więc, że już teraz wiesz!—przerywa mu lodowatym głosem. — Myślałam już, że umrzesz, nie dowiedziawszy się prawdy. Szczęście, że obecnie już wiesz, a zatem otwarcie mogę mówić z tobą, który byłeś moim panem i stróżem mojego więzienia. Wiedźże, że należałam do niego, do tego, któremu mnie odkradłeś. Wszyscy, którzy mnie obmawiali, niechajże słyszą.

I dawna miłość z oczu jej tryska, niby promień jasny. Widzi naprzeciw siebie męża z groźnie podniesioną pięścią. Przerazenie i wzgardę czyta na wszystkich pięćdziesięciu twarzach. Czuje, że to ostatnia godzina jej wielkości, ale nie może odmówić sobie rozkoszy mówienia śmiało o najpiękniejszych swoich wspomnieniach.

— To był mężczyzna — wspaniały mężczyzna! Kimże ty byłeś, że odważyłeś się stanąć pomiędzy nami? Nigdy nie widziałam drugiego takiego człowieka. On obdarzył mnie szczęściem, majątkiem... Błogosławiona niechaj będzie pamięć jego!



W tej chwili spuszcza major rękę, nie uderzywszy—wie już, jak ją ukarać!

— Precz!—ryczy—precz z mojego domu!

Ona się nie rusza.

Grupka rezydentów wybladła spogląda po sobie. Teraz spełniło się wszystko, co przepowiadał szatan... ujawniły się skutki nieodnowienia kontraktu majorowej—dumali:

— A jeżeli to jest prawdą, również prawdą jest zapewne, iż przeszło od lat dwudziestu wysyła rezydentów do piekła, a więc i ich czeka ten los — o czarownica!

— Wynos się!—powtórzył major. — Chleba zebraj po gościńcu. Nie będziesz odtąd cieszyła się pieniędzmi, nie będziesz mieszkała w jego dobrach. Skończyło się z majorową na Ekeby. W dniu, w którym przestąpisz próg mojego domu, zabiję cię!

— Z własnego domu mnie wypędzasz?

— Nie masz domu, Ekeby należy do mnie!

Trwoga przejmuje majorową. Cofa się ku drzwiom, on zaś kroczy tuż za nią.

— Ty, który byłeś nieszczęściem całego mojego życia — skarży się — czyżbyś był zdolny i tę mi krzywdę wyrządzić?

— Precz!

A ona opiera się o klamkę, składa ręce i zakrywa sobie twarz. Przyszła jej na myśl matka i szept:

— Oby się ciebie zaparto, jak ty się mnie zaparłaś, odepchnięto, jak mnie odepchnęłaś! Oby gościńiec był ci domem, a rów przydrożny łóżem! A więc ziściło się! A więc ziściło się!—powtarza.

Dobry staruszek, proboszcz z Bro i sędzia z Munkerud przystąpili do majora, usiłując go uspokoić; radzili, że najlepiej będzie, gdy wszystkie te dawne historye puści w niepamięć, gdy pozostanie po dawnemu, przebaczone, zapomniane.

— To żadne dawne historye!—krzyknął. — Do dzisiejszego dnia o niczem nie wiedziałem. Dotąd nie mogłem ukarać cudzołżnicy.

Na te słowa podnosi majorowa głowę, wraca jej odwaga.

— Ty musisz przedemną dom ten opuścić! Czy sądzisz, że ci ustąpię?—mówi, podchodząc naprzód.

Major nie odpowiada, lecz bacznie śledzi oczyma każde jej poruszenie, gotów użyć pięści, gdyby się jej nie mógł pozbyć w inny sposób.

— Pomóżcie mi, dobrzy panowie—prosi—związać tego człowieka i usunąć, póki nie odzyska zmysłów. Rozważcie, kim on, a kim ja jestem. Zastanówcie się, co się stanie, gdy będę zmuszona ustąpić. Ja przecież prowadzę całe gospodarstwo, on całe dni spędza z niedźwiedziami. Pomóżcie mi, przyjaciele i sąsiedzi! Upadnie tu wszystko, gdy mnie nie stanie. Chłop ma dziś co jeść, gdzie mieszkać, bo rąbie mi drzewo w lesie i zwozi kruszec. Węglarz dostarczał mi węgla, flis splawiał mi drzewo. Ja rozdzielam pracę, która wytwarza dostatek. Czy sądziecie, że on potrafi moją pracę dalej prowadzić? Powiadam wam, że wypędzając mnie, otworzycie wrota nędzy!

Znów podniosło się kilka rąk na pomoc majorowej, znowu łagodne dłonie dotknęły uspakajająco ramienia majora.



— Nie!—zawołał—ustąpcie! Kto staje w obronie cudzołóżnicy? Powiadam wam, że jeżeli nie pójdzie dobrowolnie, wyniosę ją na rękach do moich niedźwiedzi.

Po tych słowach opadają wzniesione ręce.

Wtedy w ostatniej rozpaczycy zwraca się majorowa do rezydentów:

— Czyż i wy będziecie się spokojnie przypatrywali, jak mnie będą wypędzali z własnego domu? Czyż pozwoliłam wam zimą marznąć w śniegu? Alboż odmawiałam wam piwa mocnego i słodkiej wódki? Czyż przyjmowałam od was płacę lub robotę za to, że was żywiłam i odziewałam? Czyż nie byliście u mnie spokojni, jak dzieci u matki? Czyż nie były przyjemności i rozrywki waszym chlebem codziennym? Nie pozwólcie, aby ten człowiek, który był nieszczęściem całego mojego życia, wypędził mnie z własnego domu! Nie dajcie mi zostać żebraczką na gościńcu!

Tu Gösta Berling pochyła się do pięknej, ciemnowłosej dziewczyny, która siedziała przy głównym stole i mówi:

— Przed pięciu laty bywałeś często w Borgu, Anno; nie wiesz, czy majorowa opowiadała Ebbie, że jestem złożonym z urzędu proboszczem?

— Ratuj majorową, Gösto!—odpowiedziała.

— Pojmiesz, że muszę najpierw wiedzieć, czy ona uczyniła mnie mordercą!

— Ach, Gösto, cóż to za pomysł! Ratuj ją!

— Widzę, że nie chcesz odpowiedzieć. W takim razie Sintram miał słuszość.

I Gösta wrócił do rezydentów.

— Nie ruszę palcem w obronie majorowej — zdecydował.

Ach, gdyby majorowa nie była umieściła rezydentów przy osobnym stole! Pod wpływem urazy zbudziły się w nich myśli minionej nocy—teraz płonie w ich oczach gniew niemniejszy, niż u majora. Dlaczegoż wszystko potwierdza ich nocne widzenia?

— Widocznie kontraktu nie odnowiła—szepcają do siebie.

Nie, od tej groźnie szepcującej gromadki nie może się majorowa spodziewać pomocy.

Cofa się więc znów ku drzwiom i splecione ręce podnosi ku twarzy.

— Oby się ciebie zaparto, jak ty się mnie zaparłaś — mówi sama do siebie z gorzką boleścią. — Oby gościniec był ci domem, a rów przydrożny łóżem!

Potem kładzie jedną rękę na klamce, drugą zaś podnosi w górę:

— Pomnijcie na słowa moje, wy, którzy mnie pozwalacie teraz wyżenąć z domu — pomnijcie, że i wasza godzina też blisko! Rozbiegniecie się i zostaną po was miejsca próżne. Jakżeż ustać zdołacie, gdy ja was nie będę podpierała? Ty, Melchiorze Sinclaire, który masz dłoń ciężką i czuje ją rodzina twoja, strzeż się! Ty, proboszczu z Broby, nadchodzi sąd na ciebie. Ty, pani Ugglo, pilnuj domu, ubóstwo weni wchodzi. Wy, piękne, młode kobiety, Elzbieto Dohna, Maryanno Sinclaire, Anno Sjämköek, nie sądzicie, że ja pozostanę jedną, która musi dom swój opuścić. A wy, panowie rezydenci, miejcie się na baczności, nadciąga burza—zmięcie was z ziemi;



czas wasz minął, koniec się zbliżał. Nie boleję ze względu na siebie, lecz na was, gdyż burza przeciąga nad waszemi głowami, a któż z was się ostoi, skoro ja upadam? Ach, serce mi pęka na myśl o tych biednych, nieszczęśliwych ludziach! Któż im dostarczy pracy, gdy mnie nie stanie?

To mówiąc, naciska klamkę, gdy kapitan Chrystyan podnosi głowę i odzywa się:

— Pókiż jeszcze każesz mi klęczyć u nóg swoich, Małgorzato Celsing? Czyż nie przebaczysz mi, abym mógł wstać i bronić cię?

Ciężką musiała z sobą walnąć stoczyć majorowa — wiedziała jednak, że jeśli mu przebaczy, on podniesie się i rzuci na jej męża — i człowiek, który ją przez lat czterdzieści wiernie kochał, stałby się przez nią mordercą.

— Jeszcze mam przebaczać? — rzekła. — Czyż nie ty jesteś powodem całego mojego nieszczęścia? Wróć do swojej drużyny, Chrystyianie Bergu, i ciesz się ze swego dzieła!

Wyrzekszy te słowa, wyszła spokojnie, ale zostawiła za sobą przerażenie. Upadła, ale nawet w upokorzeniu swoim była wielką. Nie poddawała się miękkiemu żalowi, a w starości nawet umiała się rozkoszować młodą swoją miłością. Nie skarżyła się, nie roniła bezsilnych łez, kiedy pojęła swoje nieszczęście — nie ulękła się wędrówki o kiju żebraczym. Żal jej tylko było ubogich włościan, wesołych, spokojnych ludzi, mieszkających nad jeziorem, i biednych rezydentów, słowem wszystkich, których wspierała, którymi się opiekowała.

Wszyscy ją opuścili, ona jednak posiadała dość

sily, aby jednego przyjaciela odtrącić i nie pozwolić mu stać się mordercą.

Nazajutrz major Samzelius Ekeby opuścił i przeniósł się do Sjö, leżącego tuż obok wielkiej huty żelaznej. W testamencie Altringera, mocą którego został właścicielem siedmiu hut żelaza, napisało wyraźnie, że nie mu nie wolno darować, ani sprzedać, lecz wszystko po śmierci majora ma przejść na jego żonę lub też spadkobierców. Ponieważ więc Samzelius tego nienawistnego spadku nie mógł roztrwonić, osadził na nim rezydentów w przekonaniu, że tem samemu Ekeby, jak i innym włościom, wyrządzi największą szkodę.

Ponieważ nikt w tych stronach nie wątpił, że niegodny Sintram wypełniał rozkazy szatana i ponieważ wszystko, co tenże im przepowiedział, sprawdziło się, rezydenci byli przekonani, że kontrakt sprawdziłby się co do joty i byli zdecydowani przez cały rok nie uczynić nic mądrego, ani pożytecznego, ani też łotrowskiego, a przytem głęboko byli przeświadczeni o niegodziwości majorowej, pragnącej ich zguby.

Stary wuj Eberhard, filozof, śmiał się z tego ich przeświadczenia, ale któżby przywiązywał wagę do słów takiego niedowiarka zatwardziałego, który, gdyby nawet znajdował się wśród samego ognia piekielnego, otoczony wszystkimi dyablami, utrzymywacby nie przestał, że oni nie istnieją, bo nie mogą istnieć. Wuj Eberhard niedarmo był filozofem! Gösta Berling nie powiedział nikomu, co on o tem sądzi. To pewna, że był przekonany, iż nie miał obowiązku wdzięczności wobec majorowej, za to



że go uczyniła rezydentem w Ekeby; on uznawał, że byłoby lepiej dla niego umrzeć niż żyć ze świadomością, iż stał się przyczyną samobójstwa Ebby Dohn. Nie podniósł ręki, aby się zemścić na majowej, ale też i nie stanął w jej obronie. Nie mógł.

Tak więc rezydenci nasi doszli do znaczenia i majątku. Serca ich radowały się na myśl świątecznych zabaw i rozrywek, a chociaż Göstę Berlinga udręczała troska, nie widać tego było po jego twarzy, ani poznać po mowie.

### GÖSTA BERLING POETĄ.

Na zamku Borg miał się odbyć bal.

Mieszkał tam wówczas młody hrabia Dehn, który się świeżo ożenił i miał piękną młodą żonę. Wesołością rozbrzmiewało teraz stare hrabiowskie zamczysko. I do Cheby przyszło zaproszenie, okazało się jednak, że ze wszystkich, którzy tego roku spędzili tam Boże Narodzenie, Gösta Berling, poeta, jak go nazywano, był jedynym, który miał ochotę pojechać do Borgu.

Borg i Cheby leżą nad długim jeziorem Löb, lecz po przeciwnych brzegach.

Ubogiego Göstę Berlinga wyprawili na ten bal starszankowie, jak gdyby był królewskim synem, mającym swoją osobą przedstawiać całe królestwo. Wystroił się zatem we frak nowiusienki ze złotymi guzikami, sztywny żabot i lakierki; na to zarzucił wspaniałe bobrowe futro, a na piękne, złote kędziory sobolową czapkę. Na saniach rozpostarto niedźwiedzią skórę, zaprzężono czarnego Don Juana,



prawdziwą ozdobę stajni. Gösta gwizdnał na białego Tankreda i ująwszy w dłonie splecione lejce, ruszył. Wesoly wyjeżdżał w całym blasku przepychu i [bo-gactwa, promieniając sam z siebie pięknnością ciała i przymiotami ducha.

Wyjechał wczesnym rankiem. Była to niedziela, więc przejeżdżając obok kościoła w Bro, słyszał rozbrzmiewający ztamtąd śpiew. Skreślił potem w ustronną leśną drożynę, wiodącą do Borgi, gdzie mieszkał kapitan Ugglą, u którego zamierzał pozostać na obiedzie.

Borga nie było siedzibą zamożnych ludzi — przeciwnie, głód znał drogę do tego domu, ale przyjmowano go żartami, śpiewem i muzyką, jak innych gości, to też jak ci, odchodzi niechętnie.

Stara Ulryka Dillner, urzędująca w kuchni i w izbie czeladnej, przywitała Göstę Berlinga w sieni. Dygnęła, a przyprawiane loki, które spadały jej na śniadą, pomarszczoną twarz, skakały z radości. Wprowadziła go do sali i jęła zabawiać opowiadaniem o mieszkańcach wsi i miejscowych stosunkach.

— Troski i kłopoty same — mówiła — ciężkie czasy przyszły na Borgę. Niema nawet chrzanu do mięsa na obiad... to też Ferdynand z dziewczętami pojechali do Munkerud pożyczyc. Kapitan zaś wyprawiał się do lasu i wróci zapewne z jakim łykowaćym zajmącem, który więcej masła wypije w pieczeniu, niż sam wart. On to nazywa dostarczaniem żywności dla domu. Jeszcze to byłoby najmniejsze gdyby tylko nie chciał przynieść nędznego lisa, naj-

marniejsze zwierzę, jakie tylko Pan Bóg stworzył, równie nieużyteczne czy żywe czy też zabite.

— A wielmożna pani? — Nie wstała jeszcze, Leży w łóżku i czyta powieści, jak to zwykła czynić. Nie stworzony do pracy ten niewinny anioł!

Pracę zostawiono starym, posiwiałym w służbie, jak ona. Dzień i noc trzeba być na nogach, aby wszystko utrzymać w jakim takim ładzie. A to rzecz nie taka łatwa. Przez całą zimę nie mieli żadnych potraw mięsnych, prócz niedzwiedziej szynki. A płacy wielkiej się nie spodziewa, dotąd nawet nie jeszcze nie widziała... ale przecież jej chyba nie wyrzucą na gościniec, gdy już nie będzie mogła pracować. Tu traktują gospodynię, jak człowieka — sprawią jej pewnie uczciwy pogrzeb, o ile się znajdą pieniądze na trumnę.

— Bo któż może wiedzieć, co będzie! — westchnęła, fartuchem ocierając oczy, które wciąż zachodziły łzami. — Winni jesteśmy dużo panu Sintramowi, może nam wszystko zabrać. Teraz jest niby Ferdynand zaręczony z bogatą Anną Ttjaernhök, ale on się jej sprzykrzy. I cóż się wtedy stanie z nami, z naszymi trzema krowami, dziewięciu końmi, z naszymi wesołymi panienkami, które radeby jeździć z balu na bal, z naszymi wyschłymi polami, gdzie nie nie rośnie, z naszym dobrym Ferdynandem, który nigdy w życiu nie będzie mężczyzną? Co się stanie z tym domem, gdzie wszystko kwitnie, prócz pracy?

Nadeszło południe i zgromadzili się domownicy: dobry Ferdynand, łagodny syn domu i wesołe córki. Wrócili z pożyczonym chrzanem; wrócił i kapitan:



odświeżony kąpielą w jakiejś odnodze jeziora i polowaniem w lesie. Otworzył szeroko okno, wpuszczając prąd świeżego powietrza i podał Goście rękę serdecznie. Nadeszła i wielmożna pani w jedwabnej sukni z szerokimi koronkami u rękawów, z których wysuwały się białe ręce, podane łaskawie Goście do ucałowania. Wszyscy witali Gość radośnie; żarty i śmiechy rozbrzmiewały w gronie. Pytano go ciekawie, jak się żyje na Cheby, jak wygląda w tej ziemi obiecanej.

— Miodem i mlekiem płynę — odparł. — Wydobywamy z gór wszystek kruszec, a zapełniamy piwnice nasze winem. Pola rodzą złoto, którem zlocimy sobie nędzę życia, lasy ścinamy, a stawiamy sobie kręgielnie i pawilony.

Pani Uggla w odpowiedzi westchnęła i uśmiechnęła się, a na usta jej wybiegł mimowoli wyraz poeta!

— Dużo grzechów mam na sumieniu — odpowiedział Gösta — nigdy jednak nie popełniłem ani jednego wiersza.

— A przecież jesteś poetą, Gösto, przydomkiem ten słuszenie ci się należy. Przeżyłeś więcej poematów, niż ich napisali nasi poeci.

Potem jęła pani Uggla łagodnie przemawiać do niego, jak matka, o jego zmarnowanym życiu, bezczynności. — Wierzę jednak — powiedziała — że dożyję chwili, w której cię ujrzę prawdziwym, dojrzałym mężczyzną.

Przyjemnie mu było słuchać, jak zachęcała go do pracy ta miła kobieta, która umiała być wier-

przyjaciółką i której wielkie serce pałało miłością wielkich czynów.

Skończyli wesoly obiad, zjedli mięso z chrzanem i kapustą i ciastka kruche, wypili świąteczne piwo, a tymczasem Gösta wywoływał u nich na przemian to lzy, to śmiech opowiadaniem swoim o majorze, majorowej, proboszczu z Broby, gdy wtem posłyszano z podwórza głos dzwonek, a zaraz potem wszedł Sintram!

Promieniał on radością od lysej palki do nóg długich, szerokich.

Wymachiwał długimi rękami i krzywił się. — Na pierwszy rzut oka poznano, że przybywa ze złymi wieściami.

— Czyście słyszeli? — pytał od proga — czyście słyszeli, że dziś była pierwsza zapowiedź Anny Stjaernhök ze starym Dahlbergiem? Widocznie zapomniała, że jest ona zaręczona z Ferdynandem.

Nic podobnego nie słyszeli — zdumienie ich ogarnęło i smutek.

W duszy widzieli już swoje ognisko rodzinne zburzone, zrabowane na spłacenie sum dłużnych temu niedobremu człowiekowi — widzieli ulubione konie sprzedane zarówno, jak starożytnie meble, otrzymane w spadku po matce. Widzieli już koniec swego wesołego życia, pełnego rozrywek, jazdę z balu na bal. Na stół ich wejdzie znów szynka z odyńca, a dzieci będą musiały iść na służbę do obcych ludzi.

Matka pogłaskała syna tklawie, jak gdyby chciała go upewnić o swojej nigdy niegasnącej miłości,

Ale nie darmo przecież bawił wśród nich Gö-



sta Berling, on, któremu nigdy nie zbywa na pomysłach.

— At, co tam! jeszcze niema powodu lamentować! — zawołał. — Proboszczowa z Sartjō winna temu wszystkiemu. Ona opanowała w zupełności Annę, odkąd u niej mieszka na plebanii. Ona to sprawiła, że Anna porzuciła Ferdynanda dla starego Dahlberga, ale jeszcze nie po ślubie i nic też z tego nie będzie. Jadę do Borgu, tam się spotkam z Anną. Pomówię z nią; już ją odstręcę zarówno od proboszczów, jak od narzeczonego. Noc nie upłynie, a sprowadzę ją tu, a wtedy niech się stary Dahlberg z nią pożegna.

I tak się też stało. Gösta pojechał sam do Borgu, nawet bez żadnej z wesółych panien. Towarzyły mu tylko gorące życzenia pozostałych. Sinram, który cieszył się na myśl, że stary Dahlberg zostanie wystrychnięty na dudka, postanowił pozostać, aby doczekać się powrotu niewiernej z Göstą. W przystępie czułości, okrył go nawet swoim zielonym szalem podróżnym, darowanym mu przez pannę Ulrykę we własnej jej osobie.

Pani Ugglą zaś wyszła na ganek z trzema książkami w czerwonej okładce.

— Weź je — rzekła do Gösty, siedzącego już w sankach — weź na pamiątkę, gdyby ci się nie powiodło. Jest to „Corinna“ pani de Staël — nie chciałabym, aby poszły na licytację.

— Mnie szczęście zawsze sprzyja,

— Ach Gösto, Gösto — westchnęła, gładząc jego odkrytą głowę, ty najslabszy, a jednocześnie najsilniejszy z ludzi! Jak też długo ty będziesz pamię-

tał, że w twojem ręku spoczywa szczęście wszystkich nas biednych!

Znowu znalazł się Gösta na gościńcu, ciągnięny przez czarnego Dun Juana z białym Tankredem w tyle, a świadomość czekającej go przygody nappełniła mu duszę radością.

Czuł się zdobywcą — duch unosił się nad nim. Droga prowadziła obok plebanii w Svartijō. Przystanął i zapytał, czy nie mógłby zawieźć Anny Stjaerhök ne bal. Dobrze i owszem — któżby też nie pragnął jechać czarnym Don Juanem.

I młoda, śmiała dziewczyna, wskoczyła do sani.

Początkowo jechali w milczeniu, później zawiązała się między nimi rozmowa, w której oboje prześcigali się w dowcipie.

— Czyś słyszał. Gösto, co dziś proboszcz głosił z kazalnicy?

— Czy mówił, żeś jest najładniejszą z dziewcząt w całej okolicy, od jeziora Löb aż do Klareel?

— Niemądryś, Gösto, o tem przecież i tak wiedzą wszyscy. Ogłaszał moje i Dahlberga zapowiedzi.

— Dalibóg, gdybym był o tem wiedział, nie byłbym cię zapraszał do moich sanek. Możesz mi wierzyć!

Dumna dziedziczka odparła:

— Byłabym i bez Gösty Berlinga znalazła drogę do Borgu.

— Prawdę mówiąc, szkoda Anno, że nie masz ani matki, ani ojca — powiedział Gösta w zamyśleniu. — No, ale skoro już taką jesteś, a nie inną, trudno ci z tego zrobić wyrzut — dodał.



— Bardziej szkoda, żeś mi tego nie powiedział wcześniej, byłby mnie odwiózł ktoś inny.

— Żona proboszcza widocznie jest tego samego zdania, co i ja, że potrzebujesz męża, któryby ci mógł zastąpić ojca, inaczej nie byłaby cię sprzegła z takim starym niezdarą.

— Ona nic do tego nie ma.

— Boże drogi, więc to ty sama wybrałaś sobie takiego męża!

— Ten przynajmniej weźmie mnie nie dla majątku.

— O nie, starzy patrzą tylko na niebieskie oczy i różane lica, a głupcy z nich, skoro to robią.

— Fe, Gösto, wstydź się!

— Pomyśl jednak o tem, że później nie będzie ci się wolno bawić z młodymi, Przepadną zabawy i taniec. Twoje miejsce będzie na kanapie... albo może będziesz wolała w karty zagrać ze starym Dahlbergiem?

Umilkli na chwilę i dopiero, gdy wjeżdżali na stromą pochyłość, na której stał pałac, zaczęli znów rozmawiać.

— Dziękuję za towarzystwo. Nieprędko pojedę znów z Göstą Berlingiem!

— Dziękuję i ja! Znam niejednego, kto pożalował jazyki na bal w twojem towarzystwie.

Lagodniejszą niż zwykle zdawała się harda piękność, gdy weszła na salę i okiem obrzuciła zgromadzonych gości.

Wzrok jej zatrzymał się najpierw na niskim, łysym Dahlbergu, obok którego stał wysoki, smukły, złotowłosy Gösta Berling. Najchętniej byłaby obu

ztań wyrzuciła. Narzeczony zbliżył się, zapraszając ją do tańca, ale przyjęła go ze wzgardliwym zdziwieniem.

— Tańczyć masz ochotę? Od kiedy to uprawiasz tę sztukę?

Młode dziewczęta zbliżywszy się, składały jej życzenia.

— Nie przesadzajcie, dzieci — broniła się. — Przecież nie możecie przypuszczać, że mogłam się zakochać w starym Dahlbergu! Ale on bogaty, ja bogata, stanowimy więc dobraną parę.

Po chwili i starsze damy podeszły do niej, ścisnęły jej ręce i mówiły o najwyższem ziemskiem szczęściu...

— Proszę powinszować żonie proboszcza z Svarstsjö, ona się tem więcej cieszy odemnie — odpowiedziała.

Tymczasem patrzyła, jak Göstę Berlinga, wesołego rezydenta, witano serdecznie dla dobrego humoru i pięknych słów, które umiały złocić szarą codzienność życia. Nigdy przedtem nie widziała go takim, jak dzisiejszego wieczoru. To nie był odepchnięty, pogardzony, bezdomny błazen, lecz król pomiędzy mężczyznami, jak gdyby się urodził królem.

On zaś z resztą młodych zwał się przeciwko niej. Postanowili dać jej czas rozmyślać nad tem, jak źle postąpiła przy swojej pięknej powierzchowności i majątku, wybierając sobie starca na męża. I przez dziesięć tańców nogą nie ruszyła. Krew w niej kipiała z gniewu.

Gdy jedenasty taniec się rozpoczął, przyszedł



zaprosić ją najostatniejszy z ostatnich, z którym żadna nie chciała tańczyć.

Przyszła kolej na sądzenie fantów. Jasnowłose, młode dziewczęta stuliły główki i skazały ją na pocałowanie tego, który jej jest najmilszy. Z uśmiechem oczekiwały widowiska, jak dumna owa piękność będzie całowała starego Dahlberga. Ale ona podniosła się hardo i zapytała ostro.

— A może wolno mi raczej dać policzek temu, kogo najbardziej nienawidzę?

W chwilę później zapłonał policzek Gösty pod jej silną ręką. Poczzerwieniał, chwycił jej rękę, przytrzymał ją chwilę i szepnął:

— Czekaj na mnie za pół godziny na dole, w czerwonej sali.

Ogień tryskał z jego oczu, gdy patrzył na nią, biła z nich magiczna jakaś siła. Czuła, że musi mu być posłuszną.

W oznaczonym miejscu przyjęła go hardo i gniewnie.

— Co to Göstę Berlinga obchodzi, za kogo ja wyjdę!

On też nie miał zamiaru przemówić do niej odrazu łagodnie, ni wspominać Ferdynanda.

— Nie zdaje mi się, aby kara przesiedzenia dziesięciu tańców była za sroga. Ale może odtąd nie będziesz śmiała łamać obietnic bezkarnie? Gdyby lepszy człowiek odemnie miał wymierzać sprawiedliwość, byłby może surowszy.

— Cóż uczyniłam tobie i innym, że mi nie dajecie spokoju? Prześladowacie mnie jedynie z po-

wodu mojego majątku! Wrzucę go w jezioro, niech go sobie wyłowi, kto zechce!

Po tym wybuchu zasłoniła twarz i rozplakała się z gniewu.

Wtedy wzruszyło się serce poety. Zawstydył się swojej surowości; głos jego brzmiał tkliwie gdy się odezwał.

— Ach dziecko, drogie dziecko, przebacz mi! Przebacz biednemu Göście Berlingowi! Nikt nie zwraca uwagi na to, co mówi taki łotr, jak ja — przecież wiesz o tem dobrze. Nikt nie płacze z powodu jego niegodziwości... jak gdyby kto chciał płakać, gdy go ukąsi komar. To szaleństwo... nie mogłem ścierpieć, aby nasza najpiękniejsza i najbogatsza dziewczyna dostała się temu starcowi. I nie nie zyskałem, prócz twojego smutku.

Usiadł obok niej na kanapie, łagodnie otoczył ramieniem jej kibić, aby ją troskliwie wesprzeć i dodać jej otuchy. Nie usunęła się, przeciwnie, przytuliła się do niego, objęła rękami jego szyję i płakała z głową opartą o jego ramię. Ach, poeto, najsilniejszy i najslabszy z ludzi, nie twoją przecież szyję miały obejmować te białe ramiona!

— Nie byłabym przyjmowała tego starego, ale dziś dopiero poznałam cię, nikt ci nie dorównywał!

Z bladych ust Gösty wyrwał się cichy okrzyk:

— A Ferdynand?

Pocałunkiem zamknęła mu usta.

— On jest niczem. Prócz ciebie, nikt nie istnieje, Tobie pozostanę wierną!

— Ja jestem Göstą Berlingiem — odparł posępnie — mnie przecie nie możesz zaślubić!



— Ciebie kocham, ciebie, pierwszego między mężczyznami. Ty możesz nic nie robić, niczem być... stworzonyś na króla.

Wtedy zagrała i jemu krew w żyłach. Była piękna i pełna wdzięku w tej swojej miłości, więc porwał ją w objęcia.

— Jeżeli chcesz być moją, to nie możesz dłużej mieszkać na plebanii. Pozwól, że cię tej nocy zawiozę do Cheby, tam będę cię mógł obronić, dopóki ślub nas nie połączy.

\*  
\*                      \*

Odurzająca to była jazda owej nocy. Przejęci miłością, dali się unosić Don Juanowi. Skrzypienie śniegu pod płozami sań brzmiało niby jęk oszukanego. Ale oni go nie słyszeli. Ona zawisła na jego szyi, on pochylając się nad nią, szeptał jej do ucha. Czy może być co równie słodkiego, jak rozkosz kradzionego szczęścia?

Zapowiedzi — cóż to znaczy? Wszak oni mieli za sobą miłość. A gniew ludzki? Gösta Berling wierzył w przeznaczenie. Przeznaczenie ich pokonało, nie mogą walczyć z przeznaczeniem. Gdyby gwiazdy były światłem weselnym, mającym oświetlać jej gody weselne, gdyby dzwonki Don Juana były dzwonami kościelnymi, zwołującymi świadków na jej ślub z Dahlbergiem, musiałyby i tak uciec z Göstą — taką jest moc przeznaczenia.

Szczęśliwi i w dobrym zdrowiu przejechali obok plebanii w Munckerud. Do Borgi mieli jeszcze pół mili, a drugie pół do Cheby. Droga wiodła brzegiem lasu: na prawo wznosiły się ciemne góry, na lewo długa, biała równina.

Wtem rzucił się Tankred naprzód — wydłużył się, jakgdyby leżał rozciągnięty na ziemi. Wyjął z przerażenia, wskoczył nagle do sań i skulił się u nóg Anny.

Don Juan szarpnął się i pognał galopem.

— Wilki! — zawołał Gösta Berling.

I ujrzeli długi, szary pas, poruszający się wzdłuż brzegu lasu. Było ich co najmniej tuzin.

Anna nie przerażona, Dzień ten widocznie obfitował w wydarzenia, a noc zdawała się nie chcieć mu pod tym względem ustąpić pierwszeństwa. Śmigać po iskrzącej, śnieżnej powierzchni, na przekór ludziom i zwierzętom — to się nazywa życie! — mówiła sobie z lubością.

Gösta zaklął, przechylił się naprzód i batem śmignął Don Juana.

— Boisz się? — zapytał. — Idą napoprzek i dopędzą nas w miejscu, gdzie się droga załamuje.

Don Juan pędził w zawody z dzikimi bestyami, a Tankred wył z trwogi i wściekłości. Dotarli do załomu drogi równocześnie z wilkami, a Gösta pierwszego ze stada odpędził biczykiem.

— Ach, Don Juanie, biedaku, uciekłyś dwunastu wilkom, gdybyś nie musiał nas wlec za sobą! — westchnął.

Przywiązali z tyłu do sań zielony pled podróżny. Wilki nastraszyły się go i jakiś czas trzymały



się zdala. Kiedy jednak przemogły strach, skoczył jeden z nich z wyciągniętym ozorem i szeroko rozwartą paszczą ku sankom. Wtedy chwycił Gösta „Corinnę“ pani de Staël i cisnął mu ją w głowę.

Znów mieli chwilę spokoju, zanim zwierzęta rozszarpały swoją zdobycz; po chwili uczuli, jak wilki szarpały zielony pled i posłyszeli krótki, szybki oddech dzikich bestyj. Wiedzieli dobrze, iż przed Borgą nie spotkają żadnej ludzkiej siedziby, ale Göście straszniejsze niż śmierć zdało się spotkanie się oko w oko z tymi, których zdradził. Z drugiej strony pojmował, że koń może paść ze zmęczenia — cóż się z nimi stanie wtedy?

Wtem zajaśniały na skraju lasu zabudowania Borgi — wszystkie okna były oświetlone; wiedział, czemu to przypisać.

Wilki, zastraszone bliskością ludzi, uciekły — i Gösta minął Borgę. Mimo wszystko jednak nie ujechał dalej, jak do miejsca, w którym droga znowu się gubi w lesie — tam ujrzał ciemną grupę — to wilki na nich czekały.

— Zawróćmy na plebanię — odezwał się Gösta — powiemy, żeśmy sobie urządzili przejażdżkę przy blasku gwiazd — inaczej niedobrze się to skończy.

Zawrócili zatem, ale w następnej chwili wilki otoczyły sanie. Szare postacie przemykały obok nich białe zęby lśniły się w szeroko rozdziawionych paszczach, płomienne oczy iskry sypały. Wyły z głodu i żądzy krwi. Polyskujące zęby pragnęły się wbić w miękkie ludzkie mięso. Skoczyły na Don Juana, uczepliwszy się upręży. Anna zastanawiała

się nad tem, czy dzikie zwierzęta pożrą ją zupełnie, czy zostawią z niej cośkolwiek, czy ludzie nazajutrz znajdą nadgryzione kości w zdeptanym, pokrwawionym śniegu

— Teraz rozgrywa się walka o nasze życie — powiedziała, a schyliwszy się, ujęła Tankreda za szyję.

— Daj pokój — nie dla psa wyprawily się wilki nocą.

To mówiąc, wjechał Gösta w podwórze Borgi, a wilki gnały za nimi aż do schodów, tak, że musiał się przed nimi opędzać batogiem.

— Anno — odezwał się, stojąc u drzwi — Bóg nie chciał widocznie. Przyjmij wszystko mężnie, jeżeli taką jesteś, za jaką cię uważałem.

Domownicy, usłyszawszy brzęk dzwonek, wybiegli wszyscy.

— Ma ją! — wołali — ma ją! Niech żyje Gösta Berling! — I goście wrywano sobie z rąk do rąk.

Nie pytano ich wiele — noc była późna, byli pod wrażeniem niebezpiecznej jazdy, potrzebowali spokoju... wystarczyło im widzieć u siebie Annę.

Wszystko dobrze się skończyło — przepadły tylko: „Corinna“ i zielony szal, cenny dar panny Ulryki.

\* \* \*

Cały dom spoczywał jeszcze, gdy Gösta Berling wstał, ubrał się i wymknął cichaczem. Nieostrzeżony przez nikogo, wyprowadził ze stajni Don Juana.



na, zaprzął go do sani i zamierzał odjechać. Wtem z domu wyszła Anna.

— Słyszałam cię wychodzącego — powiedziała. — Wstałam więc i oto jestem gotowa do jazdy dalszej z tobą.

Podszedł do niej i ujął za rękę.

— A więc jeszcze nie rozumiałaś? To nie może być. Bóg nie życzy sobie. Posłuchaj i staraj się mnie zrozumieć. Byłem tu dziś rano... widziałem ich rozpacz po twojej stracie. Pojechałem do Borgu, aby cię sprowadzić napowrót do Ferdynanda. Ale zawsze byłem nędznikiem i chyba już nigdy innym nie będę. Zdradziłem go i zdobyłem cię dla siebie. W domu tym żyje staruszka, która wierzy, że ze mnie może jeszcze być uczciwy człowiek. Wobec niej postąpiłem niegodziwie. Piękna jesteś — grzech był tak rozkoszny. Gösta Berling idzie tak łatwo na lep słodczy!

— Ach, jaki nędznik ze mnie! Jaki podleca! Wiem, jak oni kochają tę swoją siedzibę, a ja o mało nie wystawiłem jej na zniszczenie. O wszystkim zapomniałem przy tobie, Anno! Byłaś taka czarująca w swej miłości... Ale teraz, Anno, teraz, gdy byłem świadkiem ich niezmiernej radości, nie chcę cię za trzymać dla siebie. O ty, moja ukochana! Ten w górach rze igra naszą wolą. Czas, abyśmy się ugięli przed Jego karzącą dłoń. Powiedz, że od dziś weźmiesz na siebie ten ciężar... oni liczą na ciebie... powiedz, że pozostaniesz przy nich, jako ich pomoc i opiekun. Jeżeli mnie kochasz, jeżeli chcesz ulżyć mym gorzkiemu wyrzutom sumienia, przyrzeknij mi to uczynić.

Kochanko moja, czy serce twoje jest tak wielkie, by się poświęcić z uśmiechem?

A ona wyrzekła się go, pełna poświęcenia.

— Uczynię, jak chcesz, złożę z siebie ofiarę... z uśmiechem.

I uśmiechnęła się boleśnie.

— Póki cię kochać będę i ich będę kochała.

— Teraz dopiero widzę, jak wielką masz duszę i tem ciężej wyrzec mi się siebie.

— Bywaj zdrow, Gösto! Jedź z Bogiem! Miłość moja nie powiedzie cię do grzechu.

Odwrociła się, aby wejść do domu, on mimo woli jej towarzyszył.

— A prędko o mnie zapomnisz?

— Jedź, Gösto — ludźmi tylko jesteśmy.

Wskoczył w sanie, a wtedy znów ona wróciła ku niemu.

— Pamiętaj o wilkach.

— Dobrze... chociaż spełniły już, co miały spełnić; tej nocy już mnie zostawią w spokoju.

Jeszcze raz wyciągnął ku niej rękę, ale Don Juan się zniecierpliwił i ruszył.

Gösta nie wziął lejc w rękę, lecz siedział przechylony w tył i patrzył za nią. Potem przechylił się naprzód i lkał pełen rozpacz.

— Miałem szczęście w rękę i wypuściłem je... czemuż go nie zatrzymałem?

Ach, Gösto, Gösto, ty najsilniejszy i najsłabszy z ludzi!



## BAL W BEKEBY.

Ach, kobiety minionych czasów, gdy się mówi o was, to jak gdyby się mówiło o królestwie niebieskiem — byłyście piękną samą, samą światłem! Byłyście wiecznie młode, wiecznie piękne, la-godne, jak oczy matki, gdy spogląda na dziecko swoje. Miętko, niby młode wiewióreczki, wieszaliście się u szyi małżonków waszych. Nigdy głos nie za-drżał wam gniewem, nigdy czoła waszego nie porała zmarszki, delikatne wasze dłonie nigdy nie były szorstkie, ani twarde. Wy słodkie, święte! podobne do strojnych posągów, stałyście w świątyni domowej. Składano wam w ofierze kadzidła i modlitwy, przez was miłość dczazywała cudów, czoła wasze opromieniła poezja złotą aureolą.

W dwa tygodnie po balu na Borgu odbyła się zabawa na Ekeby. Była to najświetniejsza z zabaw. Stare kobiety i mężczyźni, opowiadając o niej potem, przypominają sobie młode lata, śmiali się i rado-wali.

Rezydenci byli, jak wiadomo, jedynymi panami Ekeby. Majorowa o kiju żebraczym wędrowała po kraju, a major mieszkał w Sjö. Nawet nie mógł być na owej zabawie, gdyż w jego wsi grasowała wtedy ospa.

Ileż rozkoszy dostarczyło tych dwanaście godzin, od huku pierwszej odkorkowanej butelki przy stole do ostatniego pociągnięcia smyczkiem, gdy północ minęła już dawno! W ctehłań czasu opadały te najświetniejsze godziny, grzane ogniem winem, wykwintnemi daniami, rozkoszną muzyką, zachwycającemi przedstawieniami i ślicznemi żywymi obrazami. Zapadały w przepaść oszołomione zawrotnym tańcem. Gdzież bowiem szukać podobnie gładkich posadzek, równie gładkich kawalerów i pięknych kobiet!

Salę dworu w Ekeby roją się najpiękniejszymi z pośród pięknych. Jest tu więc młoda hrabina Dohna, niemal pusta, bo tak wesoła, skora do zabawy i tańca; i nie dziwnego, wszak ma zaledwie lat dwadzieścia. Przybyły też i trzy piękne córki sędziego w Munke-rund i wesołe panny z Bergi, jest i Anna Ttjaern-hök, tysiąc razy piękniejsza niż przedtem, z tą łagodną melancholią, która ją opanowała od onej nocy, kiedy ją wilki ścigały; jest tu wiele takich, o których nie zapomniano jeszcze, ale czeka je to w nie-dalekiej przyszłości — jest także i piękna Maryanna Sinclair.

Ona, sławna na całą okolicę, ona, która błysz-czała na królewskim dworze, która była ozdobą ksią-żęcych pałaców, królowa piękności, która objężdżała kraj, zbierając wszędzie hołdy, ona, która wzniecała



ogień miłości, gdzie tylko się pojawiła—ona zniżyła się i zaszczyciła rezydentów swoją obecnością.

Sława Wermlandu stała wtedy u zenitu, podtrzymywana niejednym wielkiem nazwiskiem. Wesołe dzieci tego pięknego kraju posiadały wiele, z czego mogły być dumne, wymieniając jednak skarby swoje, nie omieszczały wymienić imienia Maryanny Sinclaire.

Sława jej podbojów obiegała kraj cały. Mówiono o koronach hrabiowskich, które unosiły się nad jej głową, o milionach, które składano u jej stóp, o mieczach wojowników i wieńcach poetów, gotowych na jej skinienie złożyć je w ofierze.

A była ona nietylko piękną, lecz dowcipną i wykształconą. Najmędrsi mężowie ówczesni z przyjemnością z nią rozmawiali. Sama nie pisywała lecz wiele myśli, które ona przelała w dusze swoich przyjaciół, ożyło w pieśniach.

W Wermlandzie, w tym dzikim kraju, przebywała rzadko. Życie jej upływało na podróżach. Ojciec jej, bogaty Melchior Sinclaire, mieszkał ze swoją żoną w Björne, a Maryannie pozwalał jeździć do dostojnych przyjaciół, mieszkających po wielkich miastach lub we wspaniałych zamkach. Przyjemnością mu sprawiała opowiadać o sumach, które wydawała, i oboje starzy szczęśliwi byli blaskiem, promieniejącym od szczęśliwego życia Maryanny. A życie to było życiem rozrywek i holdów. Powietrze naokoło niej przesycone było miłością, miłość była jej światłem, miłość była dla niej chlebem powszednim.

Często, bardzo często kochała i ona, nigdy je-

dnak płomień taki nie gorzał tak długo, aby w nim można było ukuć kajdany, wiążące ją na całe życie.

— Czekam na miłość, która się zjawi jako zdobywca—mawiła. Dotąd nie przeskoczyła żadnego wału, nie przepłynęła żadnej rzeki. Czekam na potężną miłość, która mnie wyniesie ponad siebie samą, pragnę miłości tak silnej, abym przed nią musiała zadrzeć—obecnie znam tylko taką miłość, z której śmieje się mój rozum.

Jego obecność dodawała słowom ognia, a winu życia. Jej płomienna dusza użyczała biegłości smyczkowi—taniec szedł lżej, bardziej oszalałmiejaco, gdy ona swoją wążką nóżką dotknęła się posadzki. Dodawała zabawie uroku, w żywych obrazach była gwiazdą.

Patron Juliusz, który się rozumiał na wszystkim, obmyślił żywe obrazy, aby Maryanna mogła wystąpić w całym blasku.

Przed sceną, którą urządzono w wielkiej sali pałacu w Ekeby, siedziało mnóstwo gości, podziwiając żółty księżyc, wstępujący na ciemne, nocne niebo. Jakiś Don Juan skradał się ulicami Sewilli i zatrzymał się pod balkonem owiniętym bluszczeniem. Był on w przebraniu mnicha, lecz z rękawa wyglądał mu haftowany mankiet, a z pod sutanny od czasu do czasu błysnął koniec szpady.

Zakapturzony mężczyzna zanucił serenadę.

Gdy przebrzmiał ostatni dźwięk, wyszła na balkon Maryanna w czarnej aksamitnej sukni i koronkowej zasłonie. Przechyliła się przez poręcz i odpowiedziała ironicznym jakimś wierszem.

Nagle jednak ożywiła się i zaśpiewała z ogniem:



Ach, uchodź, uchodź—nieprzystojna to rzecz!  
Miecz twój zbyt długi wyziera  
Poprzez nabożne słowa twojej pieśni.  
Słychać jasny dźwięk srebrnych ostróg!

Na te słowa zrzucił mnich kaptur i Gösta Berling ukazał się pod balkonem w rycerskim stroju ze złota i jedwabiu. Nie słuchał przestróg pięknej damy, lecz po jednej z kolumn, podtrzymujących balkon, wspiął się w górę, przeskoczył balustradę i padł—to patron Juliusz obmyślił — u stóp pięknej Maryanny.

Uśmiechnęła się do niego wdzięcznie, podając rękę do pocałowania i gdy młodzi tonęli w niemym zachwycie miłosnym, spadła zasłona.

Przed nią klęczał Gösta Berling z łagodną twarzą poety, a jednocześnie zuchwałą jak twarz wodza, z oczyma głębokimi, błyszczącymi rozumem, ale i filuteryą—z oczyma, które błagały i groziły.

Zwinny i silny był, ognisty, odurzający.

Zasłonę podnoszono i spuszczano, a młoda para bez ruchu pozostała w swojej pozycji. Oczy Gösty wciąż spoczywały na pięknej Maryannie z błaganiem i groźbą.

Nakoniec umilkły oklaski, przestano zasłonę podnosić, nikt na nich nie patrzył. Wtedy nachyliła się piękna Maryanna i pocałowała Göstę Berlinga. Nie umiałaby powiedzieć, dlaczego to uczyniła, ale nie mogła inaczej. On ramieniem otoczył jej szyję i przycisnął ją do piersi. A ona całowała go gorąco.

Zawinił tu balkon, księżyc, koronkowa zasłona, strój rycerski, śpiew i oklaski — biedne dzieci ziemi

były niewinne. One tego nie chciały. Ona odtrącała korony hrabiowskie, unoszące się nad jej głową, przechodziła obojętnie około milionów, które u nóg jej leżały nie dlatego, że kochała Göstę Berlinga, a i on nie zapomniał jeszcze Anny Stjaernhök—nie, oni tego nie chcieli.

Łagodny Löwenberg z oczyma marzącymi i uśmiechem na ustach, miał powierzona misję podnoszenia i spuszczenia zasłony. Zawsze zamyślony, nie zwracał uwagi na to, co się koło niego działo, ale obecnie spostrzegłszy, że Marya i Gösta przybrali inną pozycję, przypuszczał, że to należy do przedstawienia i jeszcze raz podniósł zasłonę.

Młoda para na balkonie nie zauważyła nic — zbudził ją dopiero grzmot oklasków.

Maryanna przerażona chciała uciekać, lecz wstrzymał ją Gösta, szepcząc:

— Nie ruszaj się, pomyśl, że to należy do obrazów.

Uczuł, jak ciało jej zadrżało lekko i ostygł ogień jej pocałunków.

— Nie bój się — szeptał — wszak piękne usta mają prawo całować

Musieli pozostać w pozycji; podnoszono i spuszczano zasłonę, a za każdym razem setki oczu wpały w nich, setki rąk były im oklaski, gdyż wspaniały widok przedstawia dwoje pięknych, młodych ludzi, jako obraz miłosnego szczęścia. Nikt nie pomyślał, że pocałunki były czemś innym, a nie prostą teatralną sztuczką, nikt nie przypuszczał, że dama płonęła wstydem, a rycerz drżał z niepokoju. Wszyscy byli przekonani, że to należało do obrazu.



Wreszcie Maryanna z Göstą znaleźli się po za sceną. Ona, odgarniając sobie włosy z czoła, rzekła:

— Nie rozumiem sama siebie.

— Fe, panno Maryo—skrzywił się i strzepnął rękami—Göstę Berlinga całować! fe, do licha!

Musiła się rozśmiać.

— Wszyscy przecież wiedzą, że Goście Berlin-gowi nie można się oprzeć. Moje przewinienie nie większe od innych.

I postanowili zgodzić się ze stanem rzeczy, aby nikt nie podejrzewał prawdy.

— Czy mogę spuścić się na to, że prawda nigdy nie będzie znaną, panie Gösto?—zapytała, zanim się wmieszali w grono gości.

— Tego pani może być pewną, rezydenci z E-keby umieją milczeć, za to ręczę.

Spuściła oczy, a dziwny uśmiech zaigrał na jej ustach.

— Gdyby jednak prawda kiedykolwiek do wiadomości ludzi doszła, coby o mnie pomyślano, panie Gösto?

— Nic nie będą myśleli, będą wiedzieli, że to sprawa bez znaczenia. Będą przypuszczali, że taka była nasza rola, którąśmy dalej grali.

Jeszcze jedno pytanie wymknęło się przy spuszczeniu oczach i dziwnym uśmiechu:

— A cóż sądzi o tem sam pan Gösta?

— Sądzę, że panna Marya zakochała się w mnie—zażartował.

— Czegoś podobnego niech pan Gösta nie przypuszcza—odparła z uśmiechem—gdyż w takim

razie musiałabym pana Göstę przebić tym hiszpańskim sztyletem, aby mi dowieść, że się myli.

— Drogie są pocałunki niewieście — rzekł Gösta — więc panny Maryi pocałunki płaci się życiem.

Wtedy rzuciła mu Maryanna spojrzenie tak przeszywające, że poczuł, jak gdyby pchnięcie sztyletu.

— Chciałabym go widzieć trupem, Gösto Berlingu, trupem, trupem!

Słowa te obudziły dawną tęsknotę w duszy poety.

— Ach—westchnął—gdyby te słowa były czemś więcej niż tylko słowami! Obyż były strzałami, wylatującymi z ciemnej gęstwiny, obyż były sztyletem lub trucizną — gdybyż posiadały moc skończenia z tem nędznem cielskiem, oswobodzenia mojej duszy!

Ona już odzyskała spokój i uśmiechnęła się.

— Głupstwo!—powiedziała, biorąc jego ramię i udając się do sali.

Zatrzymali kostyummy swoje, a ukazanie się ich wywołało znowu ogólny zachwyt. Wszyscy mieli jedynie słowa uznania, nikt nie podejrzewał.

Bal ciągnął się dalej, ale Gösta uciekł z sali balowej. Serce wiło się w nim pod spojrzeniem Maryanny, jak gdyby przeszył je ostry sztylet. Dobrze rozumiał znaczenie jej słów. Hańbą było kochać go, hańbą być kochaną przez niego, hańbą większą niż śmierć sama. Nie chciał tańczyć, nie chciał jej widzieć. Wiedział zbyt dobrze, iż te piękne oczy, te różowe lica płoną nie dla niego. Nie



dla niego sunęły się lekko w tańcu te zgrabne nóżki, nie dla niego dźwięczały te srebrne uśmieški. Prawda, tańczyć, marzyć mogły z nim, ale żadna z nich nie chciałaby w rzeczywistości należeć do niego.

Poszedł więc między starszych panów i przyśiadł się do grających w karty. Przypadkiem znalazł się przy tym samym stole, przy którym siedział możny pan z Björne; już to grając, to znów trzymając bank, zgromadził on przed sobą duży stos szczęścia i dwunastuszyllingówek.

Grano już wcale wysoko, a zjawienie się Gösty podniosło jeszcze zapał. Zaczęły się ukazywać grubsze sztuki, a niebawem przed Melchiorem Sinclairem leżał stos złota.

Lecz i przed Göstą gromadziły się pieniądze miedziane i papierowe i wkrótce on jedynie stawiał czoło właścicielowi Björne. Po chwili cały ogromny stos złota przeszedł od Melchiora Sinclaire do Gösty Berlinga.

— No, Gösto, cóż teraz będzie?—zawołał dziedzic, śmiejąc się, gdy przegrał wszystko. — Jestem kompletnie goły, a na kredyt nie grywam nigdy — ślubowałem to mojej matce.

A przecież znalazł sposób. Przegrał zegarek, futro bobrowe i właśnie zamierzał stawiać na kartę konia i sanki, gdy go powstrzymał Sintram.

— Stawiajże lepiej coś, co się opłaci—odezwał się złośliwy właściciel Forsu. — Postaw coś takiego, co może odwrócić szczęście!

— Licho wie, co stawiać!

— Postaw krew krwi twojej, Melchiorze—graj o swoją córkę!

— Na to może sobie pan Sinclaire pozwolić śmiało — żartował Gösta. — Tej wygranej pod mój dach nie dostanę nigdy!

I Melchior nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Nie rad był, że wymieniano imię Maryi przy kartach, ale sama myśl była taka szalona, że nie mógł się gniewać. Maryannę przegrać do Gösty! — rzeczywiście śmiało może sobie na to pozwolić!... To znaczy, Gösto—tłómaczył mu — pod warunkiem, że uzyskasz jej przyzwolenie... ja stawiam na kartę swoje błogosławieństwo ojcowskie.

Gösta wzamian postawił całą wygraną i gra się rozpoczęła. Znowu wygrał, wtedy też pan Melchior Sinclaire wstrzymał się od dalszej gry.

— Przeciw widocznemu nieszczęściu nic nie można poradzić—rzekł, wstając od stołu.

Minęła już północ. Lica pięknych pań zaczęły blednąć—loki im się porozkręcały, koronkowe upięcia pomięły. Starsze panie, orzekłszy że ponieważ zabawa trwała już przeszło dwanaście godzin, czas wracać do domu, zaczęły się z kanap podnosić.

I piękny bal miał się rzeczywiście kończyć, gdy sam Liliencrona chwycił skrzypce i zagrał ostatnią polkę. Sanie zaczęły zajeżdzać, starsze panie otulały się w futra i kaptury, starsi panowie owijali szyje chustkami i zapinali futrzane kamasze.

A młodzież nie mogła się oderwać od tańca—tańczyli w zarzutekach—był to dziki, szalony taniec. Skoro tylko jaki tancerz posadził tancerkę, porywał ją natychmiast drugi w wir tańca.



Nawet smutny Gösta Berling dał się unieść szalowi. Chciał smutek i upokorzenie utopić w tańcu, chciał tańcem krew w sobie rozruszać, chciał być wesolym, jak inni. I tańczył, aż ściany sali wiorowały wraz z myślami jego.

A jakąż to tancerkę unosi z sobą? lekką i gibką—zda mu się, jakoby ogniste płomienie przeskaکیwały pomiędzy nimi? Ach, to Maryanna.

Kiedy Gösta z nią tańczył, siedział już Sintram w swoich saniach na podwórzu, a obok niego stał Melchior Sinclair. Można pan niecierpliwil się, czekając na Maryannę. Dużemi nogami, obutemi w kamazze futrzane, tupał po zamarzniętym śniegu i wymachiwał rękami, aby się rozgrzać, mróz bowiem był ostry.

— Nie należało przegrywać córki do Gösty, Sinclairze—odezwał się Sintram.

— Co mówisz?

Sintram wziął w rękę lejce, podniósł bat, poczem odpowiedział:

— To poprzednie całowanie bynajmniej do przedstawienia nie należało.

Dziedzic podniósł pięść do potężnego ciosu, ale Sintrama już nie było. Odjechał co prędzej, a pędzał konia tak, że puścił się szalonym galopem—sam nie miał nawet odwagi spojrzeć za siebie. — Melchior Sinclair miał bowiem ciężką dłoń, a krótką cierpliwość.

Właściciel Björne poszedł zatem do sali balowej po córkę i ujrzał ją tańczącą z Göstą.

Dzika, nieokiełzana wydawała się ta ostatnia polka. Niektóre pary pobladyły, inne poczerwienia-

na dworze, co chce wyjść za wypędzonego proboszcza—dla niej niema domu. Gdyby ją był mniej kochał, gdyby z niej był mniej dumny, byłby ją może wpuścił.

Błogosławieństwa swojego nie może im odmówić—przegrał je przecież, ale drzwi jej otworzyć? nie, tego nie chce!

A piękna, młoda dziewczyna wciąż stała pod bramą domu. Jużto w bezsilnym gniewie szarpała za klamkę, już padała na kolana i splatając ręce, błagała o przebaczenie.

Ale nikt jej nie słyszał, nikt nie odpowiedział, nikt nie otworzył.

Wraca z balu, którego była królową, i ona, dotąd dumna, bogata, szczęśliwa, popadła w taką bezdenną nędzę! Z rodzinnego domu wykluczona, wyrzucona na mróz—nie wyszydzana, nie bita, nie przeklinana, lecz z zimnem, bezlitosnem okrucieństwem wykluczona.

Wszystko spało, wszystko zapadło w bezbolesny sen; wśród całej tej sennej bieli istniał tylko jeden, jedyny żywy punkcik. Wszystek ból, wszystka trwoga, które zazwyczaj rozdzielone są na cały świat, zebrały się w tym jednym punkcie. Ach Boże, tak samotnie cierpieć wśród tej sennej, martwej ciszy!

Pierwszy raz w życiu zetknęła się Maryanna z okrucieństwem i brakiem litości. Nawet matce jej nie chciało się wyjść z łóżka, aby ją wpuścić. Starzy, wierni służący, którzy strzegli pierwszych jej kroków, słyszeli ją i nie ruszyli palcem.

Za jakąż zbrodnię karano ją w ten sposób?



Gdzież miała szukać miłosierdzia, jeżeli nie u tych ludzi? Gdyby była człowieka zamordowała, byłaby przecież tu zapukała w świętem przekonaniu, że oni jej przebaczą. Gdyby była najmarniejszem ze stworzeń i w łachmanach tu przybyła, przecież zapukałaby do tych drzwi w nadziei, że zostanie przyjęta z miłością. Bo to przecież drzwi do jej domu—za temi drzwiami mogła ją tylko miłość czekać.

Czyż ojciec jeszcze nie dość jej doświadczył? Czyż jej wcale nie otworzy?

— Ojcze, ojcze!—woła—wpuść mnie! Zimno mi trzęsę się na mrozie—tu, na dworze jest strasznie.

— Matko, matko, ty, która z miłości dla mnie tyle przeniosłaś, któraś tyle nocy czuwała nademną, dlaczego śpisz teraz? Matko, matko, zbudź się, jeszcze tylko tę jedną noc ci przerwę, a potem już nigdy snu ci nie odbiorę!

Woła, a potem milknie i bez tchu nastuchuje czy niema odpowiedzi. Ale nikt jej nie słucha—nikt nie słyszał, nikt nie odpowiedział. Wtedy łapie się za rękę w dzikiej rozpacz, ale oczy jej łez nie mają.

Długi, czarny dom ze swojemi pozamykanemi drzwiami i czarnemi oknami wygląda ponuro w tej ciemności nocnej. Cóż się z nią stanie, z tą biedną? Shańbiona, napiętnowana będzie, póki niebiego nad nią unosić się będzie.

— Ojcze! — raz jeszcze woła — co będzie z mną? ludzie będą najgorsze rzeczy o mnie przepuszczali!

Plakała tak, lamentowała, a ciało sztywniało jej z zimna.

Wtem słucha, nareszcie, nareszcie! Trzeszczy podłoga pod jakimiś lekkimi krokami.

— Czy to ty, mamó?—pyta Maryanna.

— Tak, dziecko.

— Mogę już wejść?

— Ojciec nie chce cię wpuścić.

— W cieniutkich ciżemkach biegłam tu z Ekeby po śniegu. Godzinę stoję tu już i wołam. Na śmierć zamarnę na dworze. Dlaczegoście mnie odjechali?

— Dziecko, dziecko, czemuś całowała Göstę Berlinga?

— Ależ powiedzże mama ojcu, że jeszcze nie wypływa z tego, bym go miała kochać. To przecież była zabawa. Czyż sądzi, że chcę poślubić Göstę?

— Idź do dzierżawcy i proś, żeby cię przenocowali. Ojciec niezupełnie trzeźwy—nie można mu teraz nic tłómaczyć. Zamknął mnie na górze. Wyknełam się, kiedy przypuszczałam, że zasnął. Zabije cię, gdy wejdiesz do domu.

— Matko, matko, a więc do obcych mam iść, gdy mam własny dom? Czyż mama jest równie okrutna, jak ojciec? Mamże sądzić, że mnie chcecie wyrzucić z domu? Jeżeli mnie nie wpuścisz, mamó, położę się tu, na śniegu.

Wtedy matka chwyciła za klucz, aby otworzyć... gdy w tej samej chwili dały się słyszeć na schodach ciężkie kroki i ostry głos zaczął na nią wołać:

Maryanna zamieniła się cała w słuch: matka ucihła—surowy głos lajał ją, a potem... Maryanna



usłyszała coś strasznego... rozróżniłaby teraz naj-  
 złejszy szmer w domu... posłyszała odgłos uderzeń,  
 słaby jakiś jęk i znowu uderzenia.

Bił jej matkę... straszny, olbrzymi Melchior  
 Sinclaire bił swoją żonę.

Oniemiała ze zgrozy padła Maryanna na progu  
 i wyla się w trwodze. Potem zaczęła płakać, a lzy  
 zamieniały się w lód na progu rodzinnego jej  
 domu.

Litości, miłosierdzia! Niechaj wejdzie—otwórz-  
 cie, otwórzcie, niech swój grzbiet nadstawi pod ra-  
 zy. Ach, on matkę jej bije, iż nie chciała do-  
 zwolić, aby córka jej zamarła w śniegu—że chia-  
 la dziecko swoje ratować.

Głębokiego upokorzenia doznała Maryanna o-  
 wej nocy — śniła, że była królową, a oto leży, nie-  
 wiele się różniąc od oćwiczonej niewolnicy.

Po chwili podniosła się z zimnym gniewem.  
 Raz jeszcze poranioną dłonią uderzyła we drzwi  
 i zawołała:

— Słuchaj, co ci powiem, ty, który matkę mo-  
 ją bijesz—płakać będziesz, Melchiorze Sinclaire, pla-  
 kać będziesz!

Potem oddaliła się nieco i położyła się na  
 śniegu. Zrzuciła futro i położyła się w swojej czar-  
 nej, aksamitnej sukni, która jaskrawo odrzynała się  
 od białego śniegu. Leżała i wyobrażała sobie, jak  
 ojciec znajdzie ją nazajutrz, gdy wyjdzie na ranną  
 przechadzkę. Teraz miała już tylko jedno życzenie:  
 aby on sam ją znalazł.

\*

\*

\*

Na Ekeby pogaszono światła, goście się rozje-  
 chali. Rezydenci sami obsiedli ostatnią, do połowy  
 tylko wypróżnioną wagę ponczu.

Wtem podniósł Gösta kielich i wygłosił mo-  
 wę na cześć kobiet minionych czasów. — Mó-  
 wić o was—rzekł—to to samo, co mówić o króle-  
 stwie niebieskiem, bo wy jesteście samą pięknnością,  
 samem światłem! Jesteście wiecznie młode, wiecznie  
 piękne, jak oczy matki, gdy spogląda na dziecko  
 swoje. Miętko, nito młode wiewióreczki, wieszacie  
 się u szyi małżonków {waszych. Nigdy nie zdrzdy  
 wam głos gniewem, nigdy czoła waszego nie poora-  
 ją zmarszczki, delikatne wasze dłonie nigdy nie są  
 szorstkie, ani twarde. Wy słodkie, święte! podobne  
 do strojnych posągów, stoicie w świątyni domowej.  
 Składają wam w ofierze kadzidla i modlitwy, przez  
 was miłość cudów dokazuje, czoła wasze poezya  
 opromienia złotą aureolą!

Zerwali się rezydenci, odurzeni winem i jego  
 słowami. Krew w nich kipiała. Stary wujaszek Eber-  
 hardt i ciężki Krzysztof nawet wzięli udział w fi-  
 głu. Z błyskawiczną szybkością zaprzęgli konie do  
 sań i ruszyli w ciemną noc, raz jeszcze złożyć hołd  
 tym, którym nigdy nie dość hołdów, każdej z tych,  
 których różane lica i promienne oczy przed kilku  
 godzinami zdobyły wielkie sale pałacu, urządzić se-  
 renadę.

Ujechali jednak niedaleko, gdyż zaledwie do-  
 tarli do Björne, znaleźli piękną Maryannę, leżącą na  
 śniegu pod progiem swego domu.

Gniew i groza wstrząsnęły nimi, gdy ją ujrzeli  
 leżącą. Zdało im się, jak gdyby rzeźbę jakiegoś świę-



tego przedstawiającą znaleźli pogruchotaną pod progiem kościoła — zdało im się, jakoby świętokradca jakiś zniszczył skrzypce Stradivariusa i potargał struny.

Gösta zaciśniętą pięścią pogroził w stronę ciemnego domu.

— O wy, dzieci nienawiści! — zawołał — wy nieszczyciele raju boskiego!

Beerencrutz zapalił latarkę i oświetlił twarz śmiertelnej bladeści. Wtedy to ujrzeli rezydenci poranione ręce Maryanny i lzy, które zamarzyły na jej rzęsach i jej włosach, jak kobiety — wszak była nie tylko posągami kamiennymi, nie tylko struną, lecz piękną kobietą, rozkoszą ich serc starych.

Gösta Berling padł obok niej na kolana.

— Oto leży naręczona moja! — wołał. — Kilka godzin za ledwie [upłynęło, jak dała mi pocałunek oblubienicy, a ojciec jej przyrzekł mi błogosławieństwo. Oto leży i czeka, bym przyszedł i legł obok niej na białym łożu.

I na swoich silnych barkach uniosł bezwładną

— Do domu, do Ekeby! — zawołał. — Teraz jest moja. W śniegu ją znalazłem, teraz nikt mi jej nie odbierze! Tych tam nie będziemy budzili. Cóż ona ma czynić za drzwiami, na których sobie ręce do krwi poraniła.

Uczynili, jak chciał. Położył Maryannę na ścianach, a sam usiadł obok niej. Beerencrutz stanął za nimi i ujął za cugle.

— Weź śniegu i natrzęj ją! — zawołał do Gösty.

Mróz obezwładnił tylko jej członki. Szalone

niesforne serce było jeszcze. Nawet nie straciła przytomności; wiedziała, że znaleźli ją rezydenci — lecz nie mogła się ruszyć. Tak leżała sztywna, bezwładna w sankach, a Gösta Berling to nacierał ją śniegiem, to płakał i całował ją. Pragnęła przynajmniej tyle władzy w członkach odzyskać, aby mogła odpowiedzieć na jego pieszczoty.

Leżała martwa i sztywna, lecz myśl miała jasną, jak nigdy przedtem i dokładnie pamiętała wszystko, co zaszło. Czy kochała Göstę Berlinga? Tak, kochała go. Czy był to kaprys, który zjawił się dziśszego wieczora i równie prędko może minąć? Nie, kochała go oddawna — od lat wielu.

Zestawiała siebie z nim i innymi mieszkańcami Wermlandu. Wszyscy oni byli wrażliwi, jak dzieci, ulegali każdej zachciance, która się w nich zrodziła. Żyli tylko powierzchownym życiem, nie badali nigdy głębi swej duszy. Ona zaś stała się taką, jakim się zazwyczaj staje człowiek, żyjący na obczyźnie — nigdy nie mogła się czemuś oddać całkowicie. Jeżeli kochała — chociażby nawet całą duszą pragnęła, aby było inaczej — zawsze drugie jej ją przyglądało się wszystkiemu z zimnym, ironicznym uśmiechem. Tęskniła do uczucia, które zbudziwszy się w niej, porwałoby ją z sobą tak, iż oddałaby mu się bez pamięci. I oto zjawiło się owo utęsknione, władne uczucie. Kiedy Göstę Berlinga pocałowała na balkonie, poraz pierwszy zapomniała o wszystkim.

A teraz namiętność znów ją uniosła — serce jej zaczęło bić tak mocno, że je słyszała. Czyż jeszcze wciąż nie ma władzy nad swojemi członkami? Sza-



lona radość przejmowała ją na myśl, że ją wypędzono z domu. Teraz bez namysłu poślubi Göstę. Jakżeż naiwną była, walcząc lat kilka ze swoją miłością! Bo jak to przecież pięknie dać się unieść miłości, czuć wrzenie krwi w żyłach! Czyż nigdy nie zerwie z siebie tych pęt lodowych? Dotąd była ogniem na zewnątrz, a lodem wewnątrz, teraz odwrotnie, w lodowej powłoce mieści się gorąca dusza.

Wtem poczuł Gösta, jak dwie ręce objęły lekko jego szyję słabym, bezsilnym uściskiem.

Spostrzegłszy to Berencreutz, puścił konie, by własnym instynktem biegły znaną sobie drogą, a sam zwrócił oczy w górę i wciąż patrzył w niebieski Wóz.

Jeżeli przypadkiem kartki te czytać będziecie w nocy, jak ja w nocy je spisywałam, zapewne z westchnieniem ulgi pomyślicie, że teraz już panowie rezydenci będą mogli wypocząć w błogim śnie, uložwszy Maryannę na łóżku, w pokoju gościnnym, obok wielkiej sali.

Położyli się oni, naturalnie, zasnęli również, ale nie dane im było spać spokojnie do południa.

Nie zapominajmy bowiem, że tymczasem majorowa o kiju zebraczym wędrowała po kraju, a ona nigdy nie lubiła pamiętać o wygodach zmęczonych grzeszników, jeżeli miała coś ważniejszego do załatwienia.

Minął czas, w którym w blasku i przepychu mieszkała na Ekeby, siejąc naokół radość, jak Bóg rozsiał gwiazdy po niebie. A kiedy ona tułała się po kraju, powierzono ogromne dobra rezydentom,

którzy strzedz ich mieli, jak wiatr strzeże popiołu, a wiosenne słońce śniegu.

Zdarzało się, że rezydenci, wyjeżdżając wśród wesołego dźwięku dzwonek u długich sań, spotykali majorową, wlokącą się po gościńcu; wtedy nie spuszczała oczu, lecz wygrażali jej pięścią groźnie zaciśniętą. Szybkim zwrotem sań spychali ją w wysokie śniegowe wały, a major Fuchs nie omieszkiał trzy razy splunąć, aby to spotkanie nie miało złych skutków. Nie czuli dla niej litości, uważali ją bowiem za czarownicę. Zdawało im się, biedakom, że zbawienie ich duszy od tego zawisło, czy będą dostatecznie prześladowali majorową. Ludzie często dręczą się wzajemnie w najokrutniejszy sposób, mniemając, że w ten sposób pracują na zbawienie swojej duszy.

Gdy rezydenci późną nocą, wstawszy od pijatyki, chwiejnym krokiem podchodzili do okien patrzeć, czy noc jest pogodna i gwiazdzista, dostrzegali nieraz ciemną postać snującą się po podwórzu i wiedzieli, że to majorowa, oglądająca swoją ukochaną siedzibę. W takich chwilach rozbrzmiewało skrzydło rezydentów szyderczym śmiechem starych grzeszników, a złośliwe uwagi dochodziły nawet do niej przez otwarte okna.

Rzeczywiście — pycha i okrucieństwo zapanowały w sercach biednych rezydentów. Sintram zasiał nienawiść w ich dusze.

Majorowa nie żywiła już gniewu względem rezydentów. Gdyby była posiadała dawną władzę, byłaby im kazała dać różgi, jak niegrzecznym dzieciom, aby ich znów kochać, jak przedtem. Teraz jednak



gnębił ją niepokój o jej ukochaną siedzibę, oddaną rezydentom w opiekę, niby trzoda wilkom.

Niejeden przeszedł takie zmartwienie. Nie ona jedna patrzyła, jak upadało jej dziedzictwo ukochane, nie ona jedna czuła, co to znaczy, gdy na nas spogląda dom rodzinny, jak zranione zwierzę. Niejeden czuje się zbrodniarzem, widząc, jak drzewa obrastają pasorzytem, jak ścieżki zamiast żwirem, trawą są kryte. Miałby ochotę na kolana się rzucić na tych polach, które ongi pyszniły się wspaniałym plonem, i błagać je, aby nie przypisywały jemu hańby, która na nie spadała. Odwraca się od koni, brak mu odwagi spotkać się z ich wzrokiem. Nie ma siły stanąć u furty, gdy bydło wraca z pola. Żadne miejsce na świecie nie wzbudza tak gorzkich wzruszeń, jak dom chylący się do upadku.

Ach, proszę was wszystkich, którzy posiadacie pola, łąki i bogate kwiatowe ogrody, miejcie o nie staranie, pielęgnujcie je. Pielęgnujcie je miłością i pracą! Niedobrze jest, gdy natura musi ludzi oplakiwać.

Majorowa nie miała zamiaru wrócić znów do władzy; dążyła tylko do tego, aby dziedzictwo jej odebrać tym szaleńcom, tym próżniakom, tym rabusiom, pod których krokami trawa rosnąć nie może.

Kiedy żebząc wędrowała od domu, ustawnie miała na pamięci matkę i w sercu jej zrodziła się myśl, że dla niej nie nastaną lepsze czasy, póki matka nie zdejmie z niej kłątwy. Nikt jej nie doniósł o śmierci matki, widocznie więc żyła jeszcze w zapadłych lasach, na górze. Pomimo dziewięćdziesięciu lat, żyła jeszcze w bezustannej pracy, z

tesknieniem wyczekując chwili, w której spełni cel życia.

Majorowa wyrozumowała sobie, że skoro matka żyje tak długo, to widocznie w tym celu, aby zdjąć z niej kłątwę. Matka, która na dziecko swoje sprowadziła nieszczęście, nie może umrzeć.

Postanowiła zatem pójść do matki, aby obie mogły znów zaznać spokoju. Chciała puścić się ciemnymi borami wzdłuż długiej rzeki, pókiby nie stanęła w swoim rodzinnym miejscu. Przedtem nie mogła się spodziewać spokoju. Wielu ofiarowało jej w tych czasach zaciszne schronienie i wierną przyjaźń, ale ona nie zatrzymywała się nigdzie na stałe. Surowa i gniewna szła od domu do domu, ciążyła jej bowiem kłątwa.

Chciała do matki dojść, ale przedtem zabezpieczyć ukochane swoje Ekeby. Nie mogła zostawić go w rękach lekkomyślnych nieponiów, nieudolnych pijaków, obojętnych rozrzutników. Czyż może odejść, aby za powrotem zastać mienie swoje roztrwonione, kuźnie puste, konie wyglodzone, służbę wydaloną? Nie, raz jeszcze zbierze wszystkie siły i wyrzuci rezydentów!

Wiedziała dobrze, jaka to przyjemność dla jej męża widzieć jej własność trwonioną. Znała go jednak zbyt dobrze, aby nie wiedzieć, że skoro rozpędzi tych próżniaków, będzie za leniwy szukać innych. Gdy zbraknie rezydentów, zarządca jej obejmie cały majątek i przyprowadzi go do dawnego stanu.

Dlatego to na czarnych drogach widywano ostatnich nocy jej ponury cień, snujący się koło hut



żelaznych. Zachodziła do komorników, pod wielkim młynem szeptała z młynarzem i jego czeladzią, w ciemnym lochu naradzała się z kowalami.

A wszyscy pragnęli jej pomagać, czując, że wielki majątek nie powinien dłużej pozostać w ręku bezbożników, którzy strzegą go, jak wiatr strzeże popiołu, a wilk trzody.

Tej samej nocy, w którą weseli panowie tańczyli i biesiadowali, póki nie padli na łoża, zasypiając twardym snem—tej samej nocy wypędzą ich! Noc owa była tą kroplą, która dopełniła miary ich zuchwalstwa. Z ponurem spojrzeniem czekała majorowa w kuźni i czekała na koniec uczy—czekała i dłużej, póki rezydenci nie wrócili z nocnej wybieczki, czekała w milczeniu, póki jej nie doniesiono, że ostatnie światło w skrzydle rezydentów zgasło, że wielki dwór spoczywa w śnie. Wtedy podniosła się i wyszła. Była już piąta godzina rano, a jeszcze ciemna lutowa noc wisiała nad ziemią.

Majorowa kazała wszystkim zgromadzić się w skrzydle rezydentów—ona sama pierwsza weszła na podwórze. Podeszła do głównego budynku, zapukała i wpuszczono ją natychmiast; przyjęła ją córka proboszcza z Broby, którą wychowała na dzielną, pracowitą dziewczynę.

— Witam wielmożną panią — powiedziała, całując ją w rękę.

— Zgasł światło — rzekła majorowa — przypuszczasz, że nie trafię po ciemku?

I obeszła cichy dom od strychu do piwnic, zegnając się z nim. Lekkim krokiem przechodziła z pokoju do pokoju.

Pani utonęła we wspomnieniach, a dziewczyna nie wdychała, nie szlochała, lecz iza za iza toczyła się po jej twarzy, gdy postępowała za nią. Majorowa kazała jej otworzyć szafę z płótnem i srebrem i ręką zaczęła głaskać cienkie, adamaszkowe obrusy i wspaniałe srebrne kruże. W komorze, gdzie składano pościel, przesunęła ręką po wysoko spiętrzonych, puchowych pierzynach. Wszystkich sprzętów domowych: krosien, kołowrotka, toczydła musiała się dotknąć. Wetknęła rękę w szufladę z korzeniami, macała rzędy świec, wiszących u pułapu.

— Wyszły już — powiedziała — można je zdjąć i schować.

Zeszła do piwnic, puknęła w beczki i przesunęła ręką po zakorkowanych fiaskach wina. Była w spiżarni i kuchni, macała, badała wszystko. Wyciągnęła rękę i żegnała się ze wszystkim w domu.

Nakoniec zwiedziła pokoje. W jadalni przesunęła ręką po dużym stole do rozsuwania.

— Niejeden podjadł sobie do sytości przy tym stole — odezwała się.

Tak obeszła wszystkie pokoje. Długie, szerokie sofy znalazła na dawnych miejscach, głaskała zimny marmur konsol, które na złożonych gryfach podtrzymywały kosztowne lustra.

— Bogaty dom — rzekła. — Wspaniałe to był szlowski, który uczynił mnie panią tego wszystkiego.

W dużej sali, gdzie przed chwilą jeszcze odbywały się skoczne tany, stały już krzesła o wysokich oparciach pod ścianami w zwykłym porządku. Przytapiła do fortepianu i cicho uderzyła w klawisze.



— I za moich czasów nie zbywało tu na przyjemnościach i rozrywkach—powiedziała.

Wreszcie majorowa weszła i do pokoju gościnnego, położonego obok dużej sali. Było zupełnie ciemno, więc macać musiała rękami idąc, by o coś nie zawadzić, gdy wtem przypadkiem dotknęła twarzy dziewczyny.

— Płaczesz? — zapytała, czując, że ręka jej odleż zwilgotniała.

Wtedy tamta załkała głośno.

— Ach pani, droga nasza pani, oni wszystko zmarnują!—zawołała. — Czemu porzuciłaś nas, pani a powierzyłaś wszystko rezydentom?

Tu majorowa podniosła story i wskazała na podwórze.

— Czyż ja cię uczyłam płakać i lamentować? Patrz, ogród pełen ludzi, jutro nie będzie już ani jednego rezydenta w Ekeby.

— A pani wróci także?—pytała dziewczyna.

— Mój czas jeszcze nie nadszedł — odparła majorowa. — Gościniec jest mi domem, rów przydrożny lożem. Ale ty czuwaj nad Ekeby, gdy mnie nie stanie.

I poszły dalej. Żadna z nich nie wiedziała i nie przypuszczała, że Maryanna właśnie spała w tym samym pokoju.

Nie spała też, lecz czuwała, słyszała wszystkie i pojęła wszystko... leżała tylko bowiem i tworzyła hymn na cześć miłości.

— O ty, cudowna, któraś mnie podniosła! — szeptała. — Leżałam w bezgranicznej nędzy, a tyś wzięła mnie do rąk i w raj zamieniła. Do żelaznych, zaryglowanych

wróć przymarzły mi ręce, na progu mego rodzinnego domu leżą lzy moje, od mrozu w perły zamienione. Zimny gniew przeszył moje serce, gdy słyszałam razy spadające na grzbiet mojej matki. Na zimnym śniegu chciałam swój gniew przespać, ale ukazałaś się ty, dziecię ognia, przybyłaś, do dygocącej z zimna przybyłaś. Gdy porównam nędzę swoją poprzednią ze wspaniałościami, któremi ty mnie obsypałaś, wydaje się ona marną. Wolna teraz jestem od wszelkich więzów, nie mam ojca, ani matki—ani domu. Ludzie będą najgorsze rzeczy o mnie przypuszczali i odwrócą się odemnie. Niech się stanie twoja wola, o miłości — bo dla czegoż miałabym stać wyżej od mojego kochanka? Ręka w rękę przejdziemy przez życie. Biedną jest oblubienicą Gösty Berlinga; na śniegu ją znalazł. Zbudujmyż sobie więc dom wspólny, nie z wysokimi salami, lecz chatenkę małą na skraju lasu. Będę mu pomagała nastawiać sidła na zające i cietrzewie, będę mu strasnę warzyła, szaty naprawiała. O kochanku mój, czy sądzisz, że będę tęskniła i w żalu się rozplywała, siedząc samotnie i czekając twego powrotu? Tak, będę—lecz nie będę tęskniła do minionych dni świetności, ale do ciebie—ciebie wyglądać będę na ścieżkach leśnych, twój wesolego śpiewu nasłuchiwać będę, gdy z siekierą na ramieniu wracać będziesz z lasu. O, kochanku mój, póki życia mojego tęsknić do ciebie będę!...

Tak leżała więc i tworzyła hymn na cześć wszechmocnego boga miłości, kiedy majorowa weszła do pokoju.

Po jej odejściu wstała Maryanna i ubrała się.



Raz jeszcze wdziać musiała czarną, aksamitną suknię i cienkie balowe ciżemki. Otuliła się kocem niby szalem i raz jeszcze wybiegła w tę straszną noc.

Spokojna, gwiazdzista, a mroźna noc lutowa zawisła nad ziemią, jak gdyby nigdy nie miała się skończyć. A ciemność i mróz, które ta długa noc z sobą nosła, długo jeszcze unosyły się nad ziemią, chociaż już słońce zaszło i wały śniegu, po którym Maryanna kroczyła, w wodę się zmieniły.

Maryanna wybiegła z Ekeby, aby sprowadzić pomoc. Nie mogła dozwolnić, aby ci, którzy ją ze śniegu podnieśli i dom i serce jej otwarli, zostali wypędzeni. Chciała udać się do Sjö, do majora Samzeliusa. A pospieszać musiała, z powrotem mogła stanąć dopiero za godzinę.

Gdy majorowa pożegnała się ze swoim domem, wyszła na podwórze, gdzie zgromadzili się jej ludzie i rozpoczęła się walka z rezydentami.

Majorowa kazała powynosić wszystkie połamane wozy, bryczki, sanie, na których ongi przyjechali panowie rezydenci do Ekeby.

Potem podpaliła snopek słomy i ludziom kazała wołać: Gore! Od blasku płomieni i okrzyków pobudzili się rezydenci, powyskakiwali z łóżek i wybiegli na dwór.

We drzwiach jednak stał olbrzymi kowal dworski i dwóch silnych młynarczyków, a kiedy rezydenci wybiegli jeden po drugim, tamci chwytały ich, wywracali, wiązali, wynosili i kładli każdego na jego wozek lub sanie. Żaden z nich nie umknął. A majorowa chodziła od jednego do drugiego, odbierając od nich przysięgę, że nie wrócą do Ekeby.

Ale gdy się to wszystko działo, czas upływał i Maryanna dotarła do Sjö. Major wstawał wczesnie, spotkała go też na podwórze, gdzie dawał śniadanie swoim niedźwiedzom. Niewiele mówił, ale natychmiast założył kagańce niedźwiedzom i wraz z nimi pospieszył do Ekeby.

Maryanna postępowala za nim. Ze znużenia mdlewała niemal, gdy wtem ujrzała na niebie ognistą lunę i niewymowny strach ją ogarnął.

Cóż to za noc okropna! Mąż bije żonę swoją, a dziecku pozwala zamarznąć pod progiem. A oto kobieta miałaby wrogów swoich ogniem spalić? Tu mów major chciałby niedźwiedzie szczuć na swoich własnych ludzi?

Przemogła znużenie, wyprzedziła majora i pierwsza przybiegła do Ekeby, gdzie majorowa tymczasem stała w otoczeniu swojej służby przed powiatanymi rezydentami. Bez tchu zawołała:

— Major, major idzie z niedźwiedziami!

Przeżalenie zapanowało. Wtedy majorowa zwróciła się do swoich ludzi i rzekła:

— Dziękuję wam za pomoc, kochane dzieci! Nikt z was nie będzie odpowiadał za to, co się stało, nikt nie będzie karany. Idźcie do domu, nie chcę widzieć ludzi swoich mordowanymi. Teraz musi Bóg zeznać nad Ekeby, ja idę do mojej matki. Ty zaś— zwróciła się do Maryanny — uczyniłaś to w szale miłosnym, wiem o tem. Ale gdy odzyskasz zmysły, gdy Ekeby zmarnieje, a cała okolica popadnie w nędy, wtedy przypomnij sobie, coś uczyniła i pamiętaj o biednych ludziach!

To powiedziawszy odeszła, a za nią jej wierni.



Kiedy major nadszedł ze swojemi niedźwiedziami, zastał już tylko samą Maryannę i długi szereg woźów z powiązanymi rezydentami.

Tak pozostali więc oni nadal władcami Ekoby, gdyż czas jeszcze nie nadszedł, w którym je miano im odebrać, pozostawali bowiem jeszcze pod opieką Sintrama.

### LICYTACYA W BJÖRNE.

Nieraz jako dzieci dziwiliśmy się opowiadaniom starszych.

— Czyż w młodości waszej nie było dnia, w którymbyście nie tańczyli?—pytaliśmy ich.—Czyż wasze życie było jedną, długą baśnią? Czyż wszystkie ówczesne młode panny były piękne i ujmujące? Czyż każdy bal kończył się tem, że Gösta Berling jedną z nich wprowadził?

Tedy potrzęsali głowami staruszkowie i jęli opowiadać o warczeniu kołowrotka, o klekotaniu krosien, o pracy w kuchni, o uderzeniach cepów o klepisko i stuku topora w lesie. Ale niebawem powracali do poprzednich historyj. A więc opowiadali o saniach zatrzymujących się pod dworami, o koniach, pędzących z wesołemi, młodemi dziećmi o koniach przez ciemne lasy, o tanecznym wirze, pękających strunach skrzypiec. Z hałasem wśród strzelania z bata sunęła szalona drużyna naokół jeziora.



W dali słyhać było huk: drzewa chwiały się i padały, wszystkie niszczące żywioły rozpętały się, ognie płonęły, rzeki występowały z brzegów, głodne wilki, wyjąc, otaczały dwory. Kopyta końskie tratowały wszelkie cisze szczęścia. A kędy przeleciała ta szalona jazda, płonęły dziko serca mężczyzn, a kobiety blade z przerażenia uciekały od domu i rodziny.

My dzieci słuchaliśmy tych opowieści w milczeniu, zdumione i przerażone, a jednak szczęśliwe.

— Co za ludzie! — myślałyśmy. — Podobnych do nich nigdy już nie ujrzymy!

— Nie *zastanawiali* się też ludzie owych czasów nigdy nad tem, co robili? — pytaliśmy.

— Zapewne, że się zastanawiali — odpowiadali starszankowie.

— Ale nie tak, jak my to czynimy — twierdziliśmy. Ale starzy nie rozumieli, cośmy chcieli przez to powiedzieć.

My zaś myśleliśmy o owym tajemniczym duchu samokrytyki, który w naszych sercach już się odzywał. Myśleliśmy o nim, o tym z lodowatym spojrzeniem i długimi, kościstymi palcami, o nim, który w ciemnym zakątku naszej duszy siedzi i istotę naszą rozkubuje na włókna, jak stare kobiety skubią szarpie z wełny lub jedwabiu.

Nitkę za nitką wyskubują z nas owe długie, kościste palce, póki nasze całe *ja* nie zamieni się w stos starych lachmanów, a wtedy najlepsze nasze uczucia, najbezpośredniejsze myśli, wszystko, co czujemy i mówimy, zostaje gruntownie zbadane, roztrząsane, a lodowate oczy spoglądają, a bezzębne usta śmieją się i szepczą:

— Patrzajże, to strzępy, nic, tylko same strzępy.

Między ludźmi owych czasów byli już i tacy, którzy duszę swoją otworzyli onym oczom lodowatym. U jednych umieścili się one u źródła czynów, szydząc z dobrego i złego na równi, rozumiejąc wszystko, nic nie potępiając, lecz badając, roztrząsając, kawałkując i paraliżując swoim wiecznym śmiechem szyderskim wszelkie porwy serca i błyski myśli.

Tego ducha samokrytyki miała w sobie piękna Maryanna. Czuła ona jego spojrzenie lodowate, towarzyszące każdemu jej słowu, każdej jej czynności — życie jej stało się widowiskiem, którego on był jedynym widzem. Przeszawała być człowiekiem, nie cierpiała, nie cieszyła się, nie żyła, lecz grała rolę pięknej Maryanny Sinclair, a duch samokrytyki siedział w niej i oczyma zimnemi, a palcami pilnie skubiącemi patrzył na jej występy.

Przepełowiła się. Blade, niesympatyczne, drżące jej pół-ja siedziało, patrząc ironicznie na czyny drugiej połowy, a tajemniczy duch, który istotę jej rozdziwił, nie miał dla niej ani jednego słowa współczucia.

Gdzie jednak bawił stróż źródła jej czynów owej nocy, kiedy poznała pełnię życia? Gdzież był, kiedy ona, ta dumna Maryanna, całowała Gostę Berlinga wobec setek par oczu, kiedy w rozpacz rzucała się na śnieg, aby zamarznąć? Wtedy zostały lodowate oczy osłepione, szydzący śmiech przytłumiony, gdyż uczucie jak burza zerwało się w jej duszy. Szum wartkiej jazdy z baśni dźwięczał jej



w uszach. Owej strasznej nocy była całym, jednolitym człowiekiem.

Wówczas, gdy się wreszcie powiodło Maryannie zdźwignąć ręce podnieść i otoczyć niemi szyję Gösty Berlinga, widoczniesz w postaci starego Beerencreutzta odwrócił od nich oczy, a zwrócił je na gwiazdy. Owej nocy nie posiadałeś władzy, o, duchu samokrytyki! Bezsilny byłeś, kiedy ona tworzyła swój hymn miłości, martwy, kiedy biegła do Sjö aby sprowadzić majora, martwy, kiedy spostrzegła płomień oświetlający lunę lasy.

A więc przybyły potężne ptaki, orły demonicznej namiętności. Płomiennymi skrzydłami i żelaznymi szponami opadały cię z szumem, ty duchu o lodowych oczach, wpily ci szpony w kark i odrzuciły cię w nieznaną dal. I ległeś wtedy martwy, zdruzgotany. Poczem odleciały dalej one dumne, potężne, one, których droga nie zna obliczeń, których żaden wzrok śledzić nie zdoła, a z głębin nieznanych wypelznął znów tajemniczy duch samokrytyki i zagroził w duszy Maryannie.

Przez cały luty leżała Maryanna chora na Ekby. Zaraziła się ospą na Sjö. Straszna choroba całą swoją potęgą rzuciła się na nią, przemarznięta, osłabiona; była już bliską śmierci, ale pod koniec miesiąca choroba się przesiliła i zaczęła powracać do zdrowia. Osłabiona jednak była jeszcze bardzo i do niepoznania zeszpecona. Nigdy już więcej nie miała zwać jej piękną Maryanną.

Strata ta, którą oplakiwać będzie cały Wermland, jak gdyby to był jeden z najdroższych jego skarbów, znana była jednak dotąd tylko Maryannie

i jej dozorczyńni. Nawet rezydenci o niej nie wiedzieli. Pokój, w którym leżała chora, nie dla każdego był dostępny.

A kiedyż może być samokrytyka ostrzejszą, jak nie podczas długiej rekonwalescencji? Siedzi wtedy i patrzy, a patrzy swojemi lodowemi oczyma i szarpie i skupie swojemi twardemi, kościstemi palcami. A gdy się dobrze wpatrzysz, ujrzysz drugie, żółte, blade stworzenie, które swoim szyderym śmiechem mrozi i paraliżuje, a za niem jeszcze jedno i znowu inne — wszystkie zaś szydzące z siebie wzajem i z całego świata.

A kiedy Maryanna leżąc, wpatrywała się w siebie wszystkimi temi martwemi, mroźnemi oczyma, zamaryły w niej wszystkie uczucia.

Leżała i odgrywała rolę chorej, nieszczęśliwej, zakochanej, żadnej zemsty. Była tem wszystkim a przecież były to tylko jej role.

Pod spojrzeniem zimnych oczu stało się wszystko komedią i złudą. Wszystkie potężne siły życia spały w niej snem zaczarowanym. Posiadała zdolność płomiennej nienawiści i gorącej miłości tylko przez jedną noc — nie dłużej. Nie wiedziała nawet, czy kocha Göstę Berlinga. Tęskniła do jego widoku, ale tylko dlatego, żeby się przekonać, czy on będzie umiał sprawić, aby zapomniiała o sobie.

Póki choroba trwała, jedną tylko miała jasną myśl, a mianowicie kłopotala się, aby wieść o niej się nie rozeszła. Nie chciała widzieć rodziców, nie chciała pogodzić się z ojcem, wiedziała, że on będzie żałował swojego czynu, gdy się dowie o jej ciężkiej chorobie. Dlatego przykazała, aby powie-



dziano rodzicom i wszystkim innym, że choroba oczu, na którą i w domu często zapadała, zmuszała ją do przebywania w pokoju ze storami zapuszczonymi. Zakazała dozorczyńi mówić, jak ciężko jest chora, zakazała rezydentom sprowadzać z miasta lekarza.

— Miała przecież tylko ospę—twierdziła—i to bardzo lekką, apteczka domowa Ekeby wystarczy jej w zupełności.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, aby mogła umrzeć; leżała, oczekując wyzdrowienia, po którym pojedzie z Göstą do proboszcza dać na zapowiedzi.

Obecnie jednak choroba i gorączka minęły. Ochłodziła, powrócił jej rozsądek. Zdawało się jej, że w tym świecie głupców ona jedna posiada rozum. Nie nienawidziła, ani też nie kochała. Rozumiała ojca, rozumiała ich wszystkich, a kto rozumie, ten nie może nienawidzić.

Dowiedziała się, że Melchior Sinclaire zamierza urządzić licytację w Björne i zniszczyć wszystko, co posiadał, aby ona nie miała nic do odziedziczenia po nim. Mówiono, że chce przeprowadzić jaknajgruntowniejsze zniszczenie: najpierw ma sprzedać meble i wszystkie sprzęty domowe, potem bydło i narzędzia rolnicze, a w końcu dwór cały; pieniądze za to wszystko uzyskane ma wpakować w worek i rzucić w jezioro. Zniszczenie, ruina — oto jej spadek. Maryanna uśmiechała się przytwarzając, gdy jej to opowiadano... takie jego usposobienie, on nie mógł inaczej postąpić.

Dziwne się jej wydało, że kiedykolwiek śpiewała hymn na cześć miłości, że marzyła o chacie

i jego sercu — teraz nie mogła pojąć, jak mogło się jej roić coś podobnego.

Zmęczyła ją już ta bezustanna komedia, tęskniła do szczerości. Nigdy nie była zbyt uczuciowa. Nawet nie żalowała swojej piękności, drętwiała jedynie na myśl o ludzkiej litości.

— Ach, tylko sekundę zapomnieć o sobie! Słowa, czynu, ruchu, które nie byłyby obliczone!

Pewnego razu, kiedy pokój przewietrzano i odświeżano, kazała wezwać Göstę Berlinga. Odpowiedziano jej, że pojechał do Björne na licytację.

\* \* \*

Wspaniała to była licytacja! Dom był stary, zamożny; z odległych stron zbiegli się nabywcy.

Potężny Melchior Sinclaire zgromadził wszystko razem w jednej dużej sali. Rozmaite rzeczy leżały jedne na drugich wysokimi stosami, sięgającymi od podłogi do sufitów. On sam chodził jak anioł zniszczenia w dzień Sądu i ścigał wszystko, co chciał sprzedać. Czarne garnki kuchenne, drewniane stołki, cynowe dzbany, miedziane naczynia — wszystko to zostawił w spokoju, gdyż nie w nich nie przypominało mu Maryanny, ale też jedynie to ocalało przed jego gniewem.

Wpadł do pokoju córki i zniszczył wszystko. Tam stała jej szafka z lalkami, półka do książek, małe krzeselko umyślnie dla niej zrobione, jej klejnoty i suknie, kanapka i łóżko — wszystko musi iść precz!

Potem przechodził pokój za pokojem. Zabierał wszystko, co mu się niepodobało, ogromne ciężary



sam dźwigał do sali licytacyjnej. Stękał pod ciężkimi szafami i marmurowymi stołami, ale wytrwał. A wszystko rzucał na oślep: rozbijał szafy i wydobywał kosztowne, srebrne naczynia... precz z tem! Maryanna się ich dotykała. Wziął naręcze śnieżnobiałego adamaszku, własnoręcznej domowej roboty, owoce długich lat pracy i rzucił wszystko na stos: precz! Maryanna tego niegodna. Biegał ze stosami porcelany przez pokoje, nie bacząc, że tłucze tuzinami talerze, porwał stare filiżanki z sewrskiej porcelany z wypalonym na nich herbem rodzinnym: precz! niech to zabiera, kto chce. Zniósł ze strychu całe góry poduszek i puchowych pierzyn, tak miękich, że tonęło się w nich, jak w fali: precz z tem! Maryanna na nich spała.

Rzucał zagniewane spojrzenia na stare, dobre sobie znane meble. Czyż było krzesło, kanapa, na którychby nie siedziała, obraz, któremby się nie przypatrywała, świecznik, któryby jej nie przyświecał, zwierciadło, któreby nie odbijało jej rysów? Chmurny zacisnął pięść, patrząc na ten świat wspomnień. Najchętniej byłby się rzucił na wszystko i toporem porąbał w kawałki.

A jednak wiedział, że kara będzie dotkliwsza, gdy wszystko to odda na licytację. Do obcych niechaj wszystko idzie! Niechaj zbrudzą ręce wyrobników, niech dostaną się w ręce obojętnych, obcych ludzi. Znał dość tych mebli kupionych na licytacjach po chałupach chłopskich tułających, ponieważ wieranych, wzgardzonych, właśnie jak jego piękna córka! Precz! niech stoją z podartem obiciem, z którego wychodzić będzie włosie, ze startem zło-

eniem, z połamanymi nogami, popękanymi płytami niech tęsknią do dawnej siedziby! Precz z tem we wszystkie kąty świata, aby żadne oko ich nie poznało, żadna ręka napowrót nie zgraneła!

Z rozpoczęciem licytacji była już połowa sali wypełniona bezładną masą sprzętów domowych.

Wpoprzek sali stał długi stół, za nim umieścił się wywołujący, tam też siedzieli pisarze i spisywali, tam również miał Melchior Sinclair beczuleczkę wódki.

W drugiej części sali, w sieni i na podwórzu, znajdowali się kupujący.

Było ich dużo, panował też gwar hałaśliwy. Licytacja szła szybko. Obok swojej beczulki z wódką, mając za sobą cały majątek w największym nieładzie, siedział Melchior Sinclair napół pijany, napół w oblędzie. Włosy luźnymi kępkami okalały jego czerwoną twarz, krwią nabiegłymi oczyma toczył dziko. Wykrzykiwał i śmiał się, jakgdyby był w najlepszym humorze, a ilekroć ktoś wysoko licytował, wzywał do siebie i częstował wódką.

Między tymi, którzy go tam widzieli, był też i Gösta Berling, wmieszany między kupujących, lecz unikający spotkania z Melchiorem Sinclairem. Przykry mu był cały ten widok, a serce ścisnęło się przeczuciem jakiegoś nieszczęścia.

Dziwił się on, nie widząc nigdzie matki Maryanny. Nakoniec, prawie mimowoli, pchany przeznaczeniem, wyszedł poszukać pani Gustawy Sinclaira.

Przejść musiał wiele drzwi, zanim ją znalazł. Można dziedzić mało miał cierpliwości i nie znosił



jęków i lez kobiecych. Dość mu już było patrzeć na lzy, które wylewała nad losem domowych skarbów. Nie posiadał się z gniewu, że mogła płakać nad płótnem i pościelą, skoro przecież nieskończenie więcej straciła, tracąc piękną córkę — to też z zaciśniętymi pięściami przepędził ją przez cały dom aż do kuchni, do spiżarni. Dalej iść już nie mógł i zadowolili się, ujrawszy ją skuloną pod progiem, oczekującą razów, ba, może i śmierci. Tam już zostawił ją, ale drzwi zamknął i klucz włożył w kieszeń.

— Tu może sobie zostać do skończenia licytacji — pomyślał. — Z głodu nie zginie, a uszy jego odpoczną trochę od jej narzekania.

Siedziała więc jako jeniec we własnej swojej spiżarni, gdy Gösta z korytarza wszedł do kuchni. Ujrzał on twarz pani Gustawy w okienku bardzo wysoko umieszczonem.

— Cóż ciocia <sup>1)</sup> Gustawa tauu robi? — zapytał Gösta.

— Zamknął mnie—odpowiedziała.

— Dziedzic?

— Tak, myślałam już, że mnie zabije. Ach, Gösto, przynieś-że klucz wetknięty w zamek sali i otwórz spiżarnię, abym wyjść mogła. Tamten klucz jest dobry.

Gösta uczynił, jak kazała i w kilka minut później stała już kobiecina w pustej kuchni.

— Mogła ciocia kazać już dawno której z dziewcząt otworzyć sobie—odezwał się Gösta.

<sup>1)</sup> W Szwecyi starsze kobiety, dobrze znane, tak się tytułuje.

— Chcesz, żebym im sama drogę pokazała? Nie mogłabym potem porządku utrzymać w spiżarni. A zresztą, tymczasem uporządkowałam sobie górne półki—czas już był najwyższy. Nie wiem, jak mogłam czekać z tem tak długo!

— Ciocia ma przecież tak wiele do czynienia—pomagał jej usprawiedliwiać się Gösta.

— Prawda, słusznie mówisz; gdzie mnie niema, nic nie stoi na swoim miejscu, a jeżeli...

Tu urwała nagle i otarła łzę z oka.

— Ach, Boże mój!—westchnęła — ja tu sobie stoję i rozmawiam, a już pewnie nigdy nie ujrzę nic swojego. On przecież sprzedaje wszystko, cośmy posiadali.

— Tak, to wielkie nieszczęście — przytwierdził Gösta.

— Wiesz? to duże lustro w sali... taki wspomniały kawalek, szyba z jednej sztuki, a i złocenie bez plamki. Dostałam je od mojej matki, a on chce je także sprzedać.

— Ale co mu się stało?

— Ach! nic... tylko, że Maryanna nie wróciła do domu. Czekał na to i czekał! Całemi dniami chodził po alei i czekał na nią. Tak za nią tęskni, że zdaje mi się, iż zmysły postrada... ale mnie przecież nie wolno się odezwać.

— Maryanna myśli, że się na nią gniewa.

— Nie, tego nie myśli. Ona go zna, lecz jest dumna i nie chce zrobić pierwszego kroku. Są uparci i krnąbni oboje, a na mnie się wszystko odbija, ja stoję pomiędzy dwoma twardymi kamieniami.



— Czy ciocia wie, że Maryanna chce mnie zaślubić?

— Ach Gösto, tego nie uczyni... mówi tak, aby cię tylko podrażnić. Jest zanadto rozpieszczona, aby miała wyjść zamąż za ubogiego człowieka i zbyt dumna na to. Wróc do domu i powiedz jej, że jeżeli nie przyjdzie wkrótce, zmarnieje całe jej dziedzictwo. On daje wszystko za darmo!

Wtedy zgniewał się na nią Gösta—siedzi sobie na ogromnym stole kuchennym i o niczem nie myśli, tylko o swoim lustrze i porcelanie!

— Wstydz się ciociu!—zawołał.—Najpierw wypędzacie córkę na śnieg, a potem przypuszczacie, że nie wraca jedynie dlatego, że jest zła. A sądzicie, że opuści tego, którego kocha, aby nie stracić spadku.

— Kochany Gösto, już ty się przynajmniej na mnie nie gniewaj. Ja przecież sama nie wiem, co mówić. Chciałam przecież Maryannę wpuścić onej nocy, ale mnie odepchnął. Tu, w domu, wszyscy mówią, że ja się na niczem nie rozumiem. Z całego serca życzę ci Maryanny, jeżeli ją zdołasz uszczęśliwić... bo to nie łatwa rzecz, Gösto, kobietę uszczęśliwić.

Gösta popatrzył na nią... Jakże mógł gniewać się na taką panią Gustawę? Zahukana była, bojaźliwa, ale serce miała złote.

— Ciocia nawet się nie pyta, jak się powodzi Maryannie—rzekła cichym głosem.

Na to wybuchnęła płaczem.

— Nie zgniewasz się więc, jeżeli się zapamiętam? Przez cały czas taką miałam ochotę. Nic więc

tej o niej przecież nie wiem, prócz tego, że żyje. Ani jednego pozdrowienia przez cały ten czas od niej nie otrzymałam, nawet i wtedy nie, kiedy jej rzeczy posłałam — myślałam więc, że wy, ty i ona, nie chcecie mi nic o niej donieść.

Gösta nie mógł się powstrzymać dłużej. Był to zuchwały, dziki człowiek, ale lzy tej biednej staruszki były dla niego straszniejsze od wycia wilków. Wyjawiał jej całą prawdę.

— Maryanna była przez ten cały czas ciężko chora, miała ospę—mówił.

— Dziś poraz pierwszy miano ją przenieść na sofę. Nie widziałem się z nią od owej nocy.

Jednym skokiem stanęła pani Gustawa na ziemi. Zostawiła Göstę w kuchni i nie mówiąc słowa, pobiegła do męża.

Ludzie, zebrani w sali licytacyjnej, widzieli ją, jak poruszona biegła ku niemu i coś mu szeptała do ucha. Widzieli, że twarz dziedzica jeszcze bardziej poczerwieniała, a ręka, która spoczywała na kurku, przekreśliła go tak, że wódka zaczęła się lać na podłogę.

Spostrzegli wszyscy, że pani Gustawa przyszła z tak ważnymi wiadomościami, iż licytacja stanęła. Licytujący przestał uderzać młoteczkami, pisarze przestali pisać, nie dało się słyszeć żadne wywoływanie.

Wtem Melchior Sinclaire obudził się z zadumy.

— No?—zawołał—prędko będzie koniec?

I licytacja znowu szła zwykłym trybem.

Gösta siedział i czekał w kuchni; po chwili weszła płacząca pani Gustawa.



— Nic nie pomogło—odezwała się.—Myślałam, że da spokój, dowiedziawszy się, że Maryanna była chora—ale on kazał im dalej licytować. Przeszalbym, ale się wstydzi.

Gösta wzruszył ramionami i pożegnał ją. W sieni spotkał się z Sintramem.

— Dyabło miła awanturka!—wołał Sintram, zacierając ręce. — Mistrz z ciebie, Gösto. Czego ty nie dokazesz!

— Niebawem będzie tu jeszcze zabawniej.— Proboszcz z Broby jedzie tu sankami pełnymi pieniędzy. — Powiadają, że chce całe Björne kupić za gotówkę. Chciałbym wtedy widzieć minę potężnego dziedzica.

Sintram wsunął głowę w ramiona i roześmiał się długim, wewnętrznym śmiechem. Potem wszedł do sali licytacyjnej i przystąpił tuż do Melchiora Sinclairea.

— Jeżeli chcesz wódki, musisz coś kupić—żebyś tak zdrów był, jak nie dostaniesz inaczej, Sintramie!

— Że też masz zawsze szczęście—odezwał się tenże. — Jedzie tu ktoś saniami pełnymi monety, chcąc zakupić Björne razem z inwentarzem, służbą i wszystkim. Zgodził sobie ludzi, którzy będą za niego kupowali. On sam nie chce się pokazywać.

— A powiesz mi kto to taki, jeżeli ci dam wódki?

Sintram wypił i odstąpił kilka kroków, zanim odpowiedział.

— Ma to być proboszcz z Broby, bracie Melchiorze.

Melchior Sinclaire miał lepszych przyjaciół od proboszcza z Broby. Od lat żyli oni z sobą w niezgodzie. Opowiadano, że w ciemne noce wyprawiał się dziedzic i na drogach czatował na przejeżdżającego proboszcza, tak, że porządne ciągi dostały się nieraz temu sknerze, zdierycy.

Chociaż się Sintram przezornie cofnął kilka kroków, nie uniknął jednak w zupełności objawów gniewu potężnego męża. Dostał kieliszkiem w łeb całą beczulkę wódki pod nogi. Potem nastąpiła scena, która długi czas później radowała jego serce.

— Więc proboszczowi z Broby zachciewa się mojego mienia?—ryczał Sinclain.

— A wy zlecieliście się tu i kupujecie moją własność dla niego? Hańba wam, wy psy!.. Licytacja skończona! ryczał. — Wynście mi się. Póki ja żyję, nie będzie proboszcz z Broby panem na Björne. Precz mi ztąd! Ja was nauczę kupować dla proboszcza z Broby!

Napadł na wywoływacza i pisarzy, którzy odskoczyli w bok, przewracając stół w przestrachu, poczem dziedzic jak furiat rzucił się w tłum spokojnych ludzi.

Powstało zamieszanie, zaczęto uciekać. Kilkaaset ludzi cisnęło się do drzwi, uciekając przed jednym człowiekiem. A on stał w miejscu, raz wraz wykrzykując:—Precz stąd! — I wywijając nad swoją głowę krzesłem, jak maczugą, posyłał za uciekającymi grad złořezeń.

Kiedy ostatni z natrętów schodził ze schodów, wrócił na środek sali, zamknąwszy drzwi. Potem wydobyl ze stosu materac i kilka poduszek, poło-



żył się i zasnął wpośród całego tego nieładu, aby się nie obudzić aż dnia następnego...

Powróciwszy do domu, dowiedział się Gösta, że Maryanna pragnie z nim się zobaczyć. Było mu to na rękę, bo właśnie rozmyślał, jakby się mógł z nią rozmówić.

Kiedy wszedł do ciemnego pokoju, gdzie leżała, przystanął chwilę u drzwi, nie mogąc jej od razu dojrzeć.

— Zostań, gdzie stoisz, Gösto — odezwała się Maryanna.—Niebezpiecznie jest do mnie się zbliżać,

Ale Gösta, który schody przebiegł kilku skokami, drżący z tęsknoty i miłości, nie myślał o tem, czy się zarazi lub nie — on chciał napawać się jej widokiem.

Gdyż piękną była ukochana jego. Żadna z kobiet niema tak miękkich włosów, tak jasnego, promiennego czoła. Cała jej twarz składała się z pięknie zakreślonych linii.

Stały mu żywo przed oczyma jej brwi, odrzynające się ostro i wyraźnie, śmiała linia nosa, ust skarbowane jak fala, owal lic, wytworna forma podbródka. Przypomniawszy sobie delikatną barwę jej skóry, czarne brwi odbijające od jasnych włosów, niebieskie źrenice w jasnej bieli, błysk w kącikach oczu.

Piękną była ukochana jego—przemknęło mu przez myśl;—jak gorące serce kryje się pod tą dumną powierzchownością.—Ona posiada zdolność oddania się, poświęcenia, ale ukrywa je starannie pod eleganckimi formami—pomyślał.

Dwoma skokami przebiegł schody, a ona przy-

puszcza, że zatrzyma się pod drzwiami! Rzucił się przez pokój i padł na kolana u jej posłania.

Chciał ją widzieć, całować—pożegnać. Kochał ją, nigdy nie przestanie jej kochać, ale serce jego przywykło do wyrzekania się.

Ach, gdzież znajdzie wreszcie tę różę samotną, bez podpory, bez korzenia, którą mógłby wziąć do siebie i nazwać swoją? Tej nawet nie wolno mu zatrzymać, a znalazł ją przecież odepchniętą, napół umarłą na drodze. Kiedyż na koniec miłość jego zabrzmi pieśnią, której harmonii nie zepsuje żaden dysonans? Kiedyż szczęście jego oprze się na gruncie, do którego nie będzie się zwracało żadne inne serce w tęsknocie i niepokoju?

Rozmyślał na tem, jak się z nią pożegna.

— Rozpacz panuje w twoim domu — powie jej — serce mi pęka na samą myśl. Musisz wrócić do domu, ukochana...

Te słowa miał na ustach, ale ich nie wypowiedział.

Padł przed jej posłaniem na kolana, ujął jej głowę i zaczął całować, ale słów nie znalazł. Serce zaczęło mu bić silnie, jak gdyby chciało rozsądzić piersi.

Ospa zeszpeciła piękną twarz, skóra zgrubiała i pomarszczyła się. Nigdy już krew nie zabarwi jej lic, ani nie będzie widzialną w delikatnych, niebieskich żyłkach na skroni. Zmęczone oczy przysłaniały obrzmiałe powieki. Brwi znikły, a biała emalia oczu nabrała żółtawego połysku.

Wszystko niszczało: śmiałe linie zgrubiały i ocieżały.



Niemaloby było takich, którzy później oplakiwali znikłą piękność Maryanny. Ale pierwszy mężczyzna, którą ją widział po utracie piękności, nie poddał się boleści. Nieokreślone uczucia wypełniały mu duszę. Im dłużej się jej przyglądał, tem cieplej robiło mu się w duszy. Miłość wzbierała, wzbierała, jak rzeka na wiosnę. Jak ognista fala buchała z jego serca, wypełniając całą jego istotę, wypływała mu łzami, westchnieniem ust, drżeniem rąk i całego ciała.

Ach, kochać ją, bronić, osłaniać od wszystkich krzywd... niewolnikiem jej być, duchem opiekuńczym!

Silną jest miłość, która otrzyma ogniowy chrzest bólu... ale obecnie nie mógł z Maryanną mówić o rozstaniu, o wyrzeczeniu się jej. Nie mógł jej opuścić. Winien jej życie. Dla niej zdolny jest dopuścić się grzechu śmiertelnego.

Nie wyrzekł ani jednego słowa, płakał tylko i całował ją, aż go dozorczyni musiała upomnieć, że czas, aby odszedł.

Po jego odejściu leżała Maryanna, myśląc o nim i o jego wzruszeniu.

— Dobrze być tak kochaną—pomyślała.

— Tak, dobrze jest być kochaną, ale cóż się dzieje z nią samą? Cóż ona czuje? Ach, nie! mniej niż nic!

Czyż miłość jej zamarła? Gdzież się ukrywa to dziecię jej serca? Czy żyje jeszcze, czy skryło się w najgłębszy kącik jej serca i siedzi i marznie pod lodowatemi spojrzeniami, onieśmiałone szyderczym śmiechem, napół zduszone kościstymi palcami?

— Ach, miłości moja!—westchnęła—moje ukochanie, żyjesz-li lub umarłaś, jak moja piękność?

\* \* \*

Rankiem dnia następnego wszedł dziedzic do swojej żony!

— Postaraj się uporządkować dom, Gustawo—odezwał się.—Jadę po Maryannę.

— Dobrze, Melchiorze, wszystko będzie w porządku—odparła.

Po tej wymianie słów zrozumieli się. W godzinę później był już magnat w drodze do Ekeby.

Nie było wspanialszego mężczyzny, jak Melchior Sinclair, siedzący w krytych saniach, w najpiękniejszej szubie i najkosztowniejszej chustce na szyi. Włosy miał gładko zczesane, twarz jednak była blade, a oczy głęboko zapadnięte.

Nie do opisania też był blask, spływający z nieba bez chmurki na ten dzień letowy. Śnieg skrzył się, jak oczy młodych dziewcząt, gdy zagrają do pierwszego tańca. Brzozy wznosiły swoje koronki delikatnych, brunatnych gałązek—na niektórych wisiały jeszcze frendzle drobnych, iskrzących się igiełek lodowych.

Dzień wyglądał świątecznie. Konie jakby w tańcu przebiebrały przednimi nogami, a woźnica z uciechy trzaskał z bicia.

Po krótkiej jeździe zatrzymały się sanki przed bramą dworu w Ekeby. Wyszedł służący.

— Gdzie twoi panowie?—zapytał Melchior Sinclair.



— Na polowaniu na wielkiego niedźwiedzia w Gurlittbergu.

— Wszyscy?

— Wszyscy, proszę pana. Kto nie poszedł dla niedźwiedzia, poszedł dla furazu.—Dziedzic roześmiał się, aż rozbrzmiało po cichym dworze. Dał służącemu talara za tę odpowiedź.

— Powiedz mojej córce, że jestem tu, aby ją zabrać. Niechaj się nie lęka zimna. Mam sanie kryte i wilczurę przywozłem z sobą.

— Wielmożny pan nie wejdzie?

— Nie, dobrze mi tu, zostanę.

Służący odszedł, a dziedzic czekał. Tego dnia był w tak doskonałym humorze, iż nie go zepsuć nie mogło. Był zdecydowany czekać na Maryannę, bo może nawet nie wstała jeszcze. Tymczasem rozglądał się z zajęciem.

Z dachu spuszczał się długi sopel lodu, z którym dużo roboty miało słońce. Zaczęło ono od góry, stopiwszy kroplę, myślało, że ona stoczy się wzdłuż sopla i spadnie, tymczasem zanim kropla odbyła pół drogi, zamarzła napowrót. A słońce wciąż powtarzało swoje nieudane próby. Wreszcie uparty jakiś promień umieścił się na czubku sopla—maleńki to był promyk, ale zajadły, i zanim się opatrzone, dopiął celu—kropla spadła na ziemię z pluską.

Dziedzic widział to i roześmiał się. — Nie głupis!—odezwał się do promienia.

Dwór cichy był i pusty. Z dużego budynku nie dochodził go żaden odgłos. Ale nie okazał

znecierpliwienia. Wiedział, że panie dużo potrzebują czasu.

Siedział więc i przypatrywał się gołębnikowi. Był on okratowany. Gołębie były zamknięte przez zimę, aby ich jastrząb nie porwał. Od czasu do czasu ukazał się jakiś gołabek, wysuwając białą główkę przez siatkę drucianą.

— Czekaj wiosny!—rzekł do siebie Melchior Sinclair—ale musi być cierpliwy.

Gołab zjawiał się tak regularnie, że dziedzic wyciągnął zegarek mimowoli, porównyując. Okazało się, że dokładnie co trzy minuty wysuwał główkę.

— Nie, serdeńko — odezwał się — czyż przypuszczasz, że wiosna zjawi się za trzy minuty? Musisz się nauczyć czekać!

I on też musiał czekać, ale miał czas.

Konie początkowo niecierpliwie grzebały nogami w śniegu, ale później zmęczyło je to czekanie i słońce, które im świeciło w same oczy. Stuliły głowy i drzemały. Woźnica siedział sztywno na koźle z batem i lejcami w ręku, z twarzą zwróconą do słońca i spał aż chrapał.

Ale dziedzic nie spał. Nigdy nie był mniej śpiący, niż obecnie. Nigdy nie czuł się weselszym, jak w tej chwili oczekiwania.—Maryanna była chora, nie mogła przyjść wcześniej, ale teraz przyjdzie na pewno. Rozumie się, że przyjdzie i znowu wszystko będzie dobrze. Teraz już będzie wiedziała, że się na nią nie gniewa — zajechał przecież po nią osobiście krytymi sankami i parą koni.

Na desce, którą przytwierdzono do otworu ula, sika urządziła pszczołom iście szatański figiel.



Wewnątrz uła zbite w duży, czarny kłębek, ale w największym porządku siedziały owady: szafarz rozdzielal racye, podczaszy latał z nektarem i ambrozją od ust do ust. Te, które uwieszone były najgłębiej, zamieniały się na miejsca z wiszącymi bardziej na zewnątrz, tak, że ciepło i wygodą rozdzielone były równomiernie.

Sikora chciała mieć obiad; jęła więc swoim ostrym, małym dzióbkiem pukać w deskę. Usłyszały to pszczoły i cały ul zabrzączał ciekawością. Czy to wróg, czy przyjaciel? Czy państwu grozi niebezpieczeństwo? Królów ma niespokojne sumienie, nie może się doczekać wyjaśnienia. Może to straszą duchy pomordowanych trutniów? — Wyjdz i zobacz, kto to puka! — rozkazała odzwiernej. Ta usłuchała natychmiast. Wylatuje z okrzykiem: Niech żyje królowa! a tu paff rzuca się na nią sikora. Z wyciągniętą szyją i skrzydłami drgającymi gorączką mordu chwyta ją, miażdży, pożywa — i nikt nie przynosi królowej wieści o jej zgonie. Sikora zaś dalej puka, a królowa wciąż wysyła swoje odzwierne, które znikają na zawsze. Żadna nie powraca z oznajmieniem, kto pukał. Ha! strasznie zaczyna być w ciemnym ulu. To sprawka duchów mścicieli. Ach, szczęśliwy! kto nie słyszy. Szczęśliwy, kto może ciekawość swoją przytłumić. Szczęśliwy, kto umie czekać spokojnie.

Dziedzic śmiał się do łez z głupich niewiast w ulu i chytrego kawalera na dworze.

Nie sztuka czekać, gdy się jest pewnym swojej sprawy i gdy się ma tyle rzeczy, mogących odwrócić uwagę.

Słońce zaczęło się posuwać w stronę gór na zachodzie. Melchior Sinclaire spojrzal na zegarek. Była trzecia godzina, żona przygotowała obiad na dwunastą.

W tejże chwili ukazał się służący i oznajmil, że panna Maryanna chce z nim pomówić. Dziedzic zarzucił wilczurę na ramię i w świetnym humorze wszedł na schody.

Gdy Maryanna posłyszała jego ciężkie kroki na schodach, nie wiedziała jeszcze, czy wróci z nim do domu, czy nie. Wiedziała tylko jedno, że to czekanie jego musi się wreszcie skończyć.

Miała nadzieję, że tymczasem wrócą rezydenci, lecz nie wrócili. Musiała więc sama sprawę załatwić. Nie mogła tego znieść dłużej. Sądziła, że rozniewany odjedzie po dziesięciominutowem czekaniu, że bramę wyważy lub dwór podpali. Tymczasem on siedział spokojnie i uśmiechał się. Nie odczuwała dla niego ani nienawiści, ani miłości. Wewnętrzny głos jednak ostrzegał ją przed oddaniem się w moc jego. Przytem chciała Goście dotrzymać słowa

Gdyby był zasnął lub okazał zniecierpliwienie, gdyby zdradził cień wątpliwości, lub przynajmniej sianie usunął z pod słońca. Ale on był uosobioną cierpliwością i spokojem. Tak był pewny siebie, tak zaraźliwie pewny, że ona wyjdzie, że się jej doczeka!

Głowa ją bolała, każdy nerw w niej drgał. Nie mogła znaleźć spokoju póki on czekał na dworze. Zdało się jej, jakoby wola jego spędzała ją w dół po schodach. Chciała przynajmniej z nim się roz-



mówić. Zanim przyszedł, kazała stopy podnieść i tak się ułożyło, że światło dzienne oświetliło ją jaskrawo. Chciała go w ten sposób wystawić niejako na próbę. Ale Melchior Sinclair zachowywał się tego dnia niezwykłe.

Ujrzawszy ją, nie wydał krzyku, nie zmienił wyrazu twarzy. Udawał, jak gdyby nie dostrzegł w niej żadnej zmiany. Wiedziała, jak dumny był z jej urody, nie dał jednak po sobie poznać, że doznał zmartwienia. Panował nad sobą, aby jej nie zasmucać. To ją wzruszyło głęboko. Zaczynała rozumieć matkę, że go wciąż kochała. Nie zdradzał się z jakąś wątpliwością. Nie robił jej wyrzutów, ani siebie nie usprawiedliwiał.

— Okryję cię wilczurą, Maryanno. Nie jest zimna. Cały czas trzymałem ją na kolanach. — A mimo to podszedł do kominka i ogrzał ją jeszcze. Potem pomógł córce wstać z kanapy, okrył ją futrem, głowę owinął szalem, skrzyżował go na piersi i zapiał z tyłu.

Ona pozwalała mu wszystko to robić z sobą. Nie miała woli. Tak jej było miło być otoczoną staraniem i troskliwością. Podobało się jej to, że sama nie musiała *chcieć*. Dobrze z tem komuś, kto był tak zboląły, jak ona, komuś, kto, jak ona również, nie posiadał ani jednej myśli, ani jednego uczucia, które mógłby nazwać swojemi własnymi.

Przymknęła oczy i westchnęła częścią z zadowoleniem, częścią z boleścią. Pożegnała się z życiem, z prawdziwym życiem, ale było jej to zupełnie obojętne, skoro przecież nie umiała żyć, tylko grać komedję.

W kilka dni później postarała się matka o osobność rozmówienia się z Göstą. Kiedy ojca w domu nie było, posłała do Ekeby po Berlinga i wprowadziła go do Maryanny.

Gösta wszedł bez pozdrowienia, bez słów. Stał pod drzwiami i patrzył w ziemię, jak krnąbrny chłopak.

— Ależ Gösto! — zawołała Maryanna siedząca w krześle.

— Prawda, takie noszę imię.

— Chodźże tu do mnie, Gösto, całkiem blisko!

Zbliżył się, ale wzroku nie podniósł.

— Bliżej! Klęknij tu!

— Ależ, mój Boże, cóż to ma znaczyć? — zawołał, bezwiednie czyniąc zadość jej woli

— Gösto, chciałam ci tylko powiedzieć, iż do brze się stało, że powróciłam do domu.

— Mamy więc nadzieję, że panny Maryanny nie wyrzucą już na śnieg?

— Ach Gösto, więc mnie nie kochasz? Zdaję ci się szkaradną?

Przechylił jej głowę ku sobie i pocałował ją, ale się nie rozchmurzył.

Właściwie bawił ją. Miałaby zazdrosnym być o jej rodziców? To byłoby zabawne. Podobało się jej zdobywanie go napowrót. Nie wiedziała, dlaczego pragnie go zatrzymać przy sobie, ale chciała tego bardzo. Może przychodziło jej na myśl, iż jemu jednemu powiodło się przywieść ją do takiego stanu, w którym zapomniała o sobie zupełnie. Z pewnością tylko on jeden mógłby to jeszcze raz uczynić.



Postanowiwszy sobie zdobyć go napowrót, jąła go przekonywać. Powiedziała mu więc, że nie było jej zamiarem opuścić go na zawsze; na jakiś czas jednak, dla ratowania pozorów, muszą się rozejść. Sam przecież widział, że ojciec blizki był szaleństwa, że matka nie była pewna życia. Sam uzna chyba, że powinna była wrócić do domu.

Wtedy gniew jego znalazł upust w słowach. Niechaj nie gra z nim komedyi, nie chce nadal być manekinem. Opuściła go, skoro jej się tylko otworzył dom rodzicielski — on nie może jej kochać. Gdy wrócił z polowania i dowiedział się, że znikła, nie zostawiwszy ani pozdrowienia, ani słówka żadnego, zastygła mu krew w żyłach; omal nie umarł ze zmartwienia. Nie może już kochać tej, która mu wyrządziła taką krzywdę. Ona go zresztą nigdy nie kochała. Jest kokietką, która i tu, w okolicy chciałaby mieć kogoś, ktoby ją pieścił i całował — oto wszystko

A więc on sądzi, że zwyczajem jej jest pozwalać się pieścić i całować każdemu młodemu panu?

Rozumie się, kobiety nie są wcale takie święte, jak udają. Próżność i zalotność to ich istota. Żeby przynajmniej miała słabe wyobrażenie o tem, co odczuł za powrotem do domu! Zdało mu się, jakoby brodził w wodzie lodowej. Tego bólu nigdy nie przezwycięży... on już trwać będzie całe jego życie. Nigdy już nie będzie człowiekiem.

Usiłowała mu wytłómaczyć, co zaszło. Chciała go przekonać, że jest mu wierną.

Wszystko mu to jedno, gdyż on przestał ją ko-

chać. Zna ją już teraz na wylot. Jest egoistką, nie kochała go nigdy, bez słowa pożegnania odeszła od niego.

Wciąż i wciąż wracał do tego samego. Bawiło ją to, gniewać się nie mogła, rozumiała żal jego nazbyt dobrze. Nie lękała się rzeczywistego zerwania. Ale w końcu ogarnął ją niepokój. Czyż mógł zajść taki przewrót w jego uczuciach? A może na prawdę nie może jej już kochać?

— Gösto, czyż byłam samolubną, gdym biegła do Sjö po majora? Wiedziałałam przecież o tem, że tam panuje ospa. A przytem nic to przyjemnego w śnieg i mróz biedz w cienkich balowych ciżenkach.

— Miłość polega na czystej miłości bez dobrodziejstw i przysług — odparł Gösta.

— Chcesz więc, abyśmy na przyszłość byli dla siebie obcymi.

— Tak, chcę tego.

— Gösta Berling jest bardzo kapryśny.

— Mówią to o mnie.

Zimny był jak lód i nic nie odtajał, a właściwie ona była jeszcze zimniejsza. Samokrytyka drwiła z jej usiłowań bawienia się w zakochaną.

— Gösto — odezwała się, czyniąc ostatni wysiłek — nigdy umyślnie przykrości nie wyrządziłam, chociażby pozory świadczyły przeciw temu. Przebac mi, proszę cię!

— Nie mogę ci przebaczyć.

Wiedziała, że mogłaby go zdobyć, gdyby posiadała jedno całkowite, nie rozkawałkowane uczu-



cie. Ale ona usiłowała tylko grać zakochaną. Nie chciała go utracić.

— Nie odchodź odemnie, Gösto, nie odchodź w gniewie! Pomyśl, jaka jestem szkaradna. Nikt mnie już teraz nie będzie mógł pokochać.

— I ja też nie mogę — odrzekł. — Musisz się z tem zgodzić, że po sercu twojem także deptać będą.

— Gösto, nigdy nikogo innego nie mogłam kochać, prócz ciebie! Przebac mi! Nie porzucaj mnie! Ty jesteś jedynym, który mnie potrafisz obronić przed samą sobą.

Odepchnął ją od siebie.

— Nieprawdę mówisz — rzekł z lodowatym spokojem. — Czego odemnie chcesz, nie wiem, ale czuję, że kłamiesz. Dlaczego chcesz mnie zatrzymać? Bogata jesteś, nie zbraknie ci starających się!

I odszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy tęsknota i ból całym swym ogniem owładnęły sercem Maryanny.

To była miłość, jej rodzone dziecię, które wypełzło z kącika, gdzie zapędziły je lodowate oczy. Teraz zjawiała się z takim utęsknieniem oczekiwana, teraz, kiedy już było zapóźno. Teraz wystąpiła na jaw poważna, przepotężna, a ból i tęsknota niosły tren jej królewskiego płaszcza.

Kiedy Maryanna stanowczo powiedzieć sobie mogła, że Gösta Berling ją opuścił, uczuła fizyczny ból tak dotkliwy, że ją niemal ogłuszył. Rękoma ścisnęła serce i godzinami siedziała na tem samem miejscu, walcząc z bólem, a nie mogąc płakać.

Cierpiała ona sama, nie obca jakaś istota, nie aktorka — lecz ona w swej własnej istocie. Dlaczegoż ojciec jej przyjechał i rozdzielił ich? Jej miłość przecież nie umarła, lecz osłabiona chorobą, nie mogła odczuć jej potęgi.

Ach Boże, Boże, że też go musiała stracić, że się też tak późno ocknęła!

On był jedyny, on był panem jej serca! Od niego wszystkoby zniosła! Gorzkie, ostre słowa jego ugięłyby ją tylko do pokornej miłości. Gdyby ją był nawet bił, jak pies czułaby się za nim, całując mu ręce.

Nie wiedziała, co robić, aby ból swój nieco uśmierzyć.

Cuwyciła tedy za pióro i zaczęła pisać z gorączkowym pośpiechem. Najpierw pisała więc o swojej miłości, o swojej stracie, potem błagała go o miłość bodaj z litości! Była to niejako poezya — to, co napisała.

Skończywszy, pomyślała, że przecież, jeżeli mu to w ręce wpadnie, może uwierzy w jej miłość. A dlaczegoż nie miałyby mu tego posłać? Zrobi to nazajutrz, a pewna była, że to go sprowadzi napowrót.

Nazajutrz toczyła z sobą walkę. To, co napisała, wydało się jej tak ograniczone, tak głupie. Nie było w tem ani rytmu, ani rymu... czysta proza. Wyśmiałyby się z takich wierszy. Jednocześnie zbudziła się w niej duma. Skoro jej już nie kocha, aby strasznem poniżeniem żebrać o jego miłość. Zgłosił się też i rozsądek, który jej przekła-



dał, że powinna być rada z zerwania. Powstałyby rozmaite przykre sytuacje.

Ale męka jej serca była jednak silniejszą: przemogło uczucie. W trzy dni po uświadomieniu sobie miłości włożyła swe wiersze do koperty, którą zaopatrzyła nazwiskiem Gösty. Nie wysłała ich jednak nigdy. Zanim bowiem znalazła odpowiedniego posłańca, usłyszała takie nowiny o Göście, że uznała, iż za późno już starać się o odzyskanie go.

Przez całe życie już nie mogła się pozbyć żalu, iż nie wysłała ich w swoim czasie, kiedy jeszcze w mocy jej było zdobyć go sobie nanowo. Cały ból jej zamykał się w słowach: — Gdybym była nie czekała tak długo!

Te pisane słowa byłyby jej zdobyły szczęście życia, a przynajmniej rzeczywistość życia. Była przekonana, że one odniosłyby były skutek.

Lecz ból oddał jej tę samą usługę, co miłość. Uczynił ją zupełnym człowiekiem, zdolnym odczuwać zło i dobro. Gorące uczucia wniknęły do jej duszy nie tamowane lodowem zimnem samokrytyki.

A dlatego, pomimo swojej brzydoty, była przez wielu kochaną,

Powiadano jednak, że nigdy nie mogła zapomnieć Gösty Berlinga. Żałowała go, jak się żaluje zmarnowanego życia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



125661 / 1